80 LAT CZWARTEK UKAZUJE SIĘ OD 1945

29 maja 2025 NR 124 (18215)

Sport



Czas Chelsea

UEFA CONFERENCE LEAGUE

Sport 340c392578

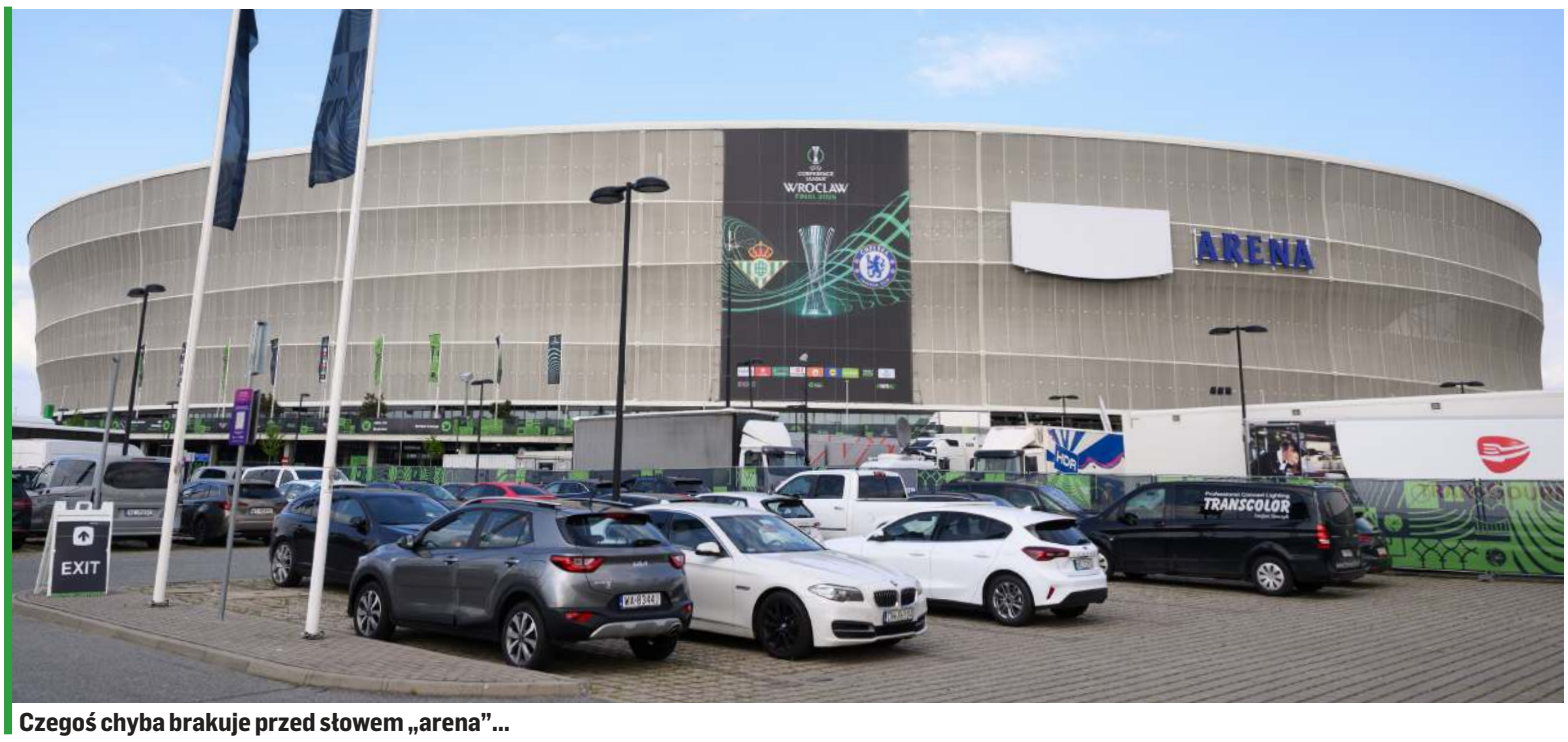
Na miarę Ligi Mistrzów

Kazimierz Mochlinski z Wrocławia



Angielscy kibice mocno się zdziwili, kiedy przyjechali na stadion, na który ich skierowano.

Kibiców Chelsea we Wrocławiu martwiło przed finałem Ligi Konferencji jedno. Do tej pory, gdy finał klubowych pucharów UEFA był rozgrywany w Polsce, zawsze wygrywały drużyny z Hiszpanii. Wczoraj przeciwnikiem Anglików był Real Betis, który liczył na podtrzymanie iberyjskiej dominacji w Polsce.



Fot. PAP/Jakub Kaczmarczyk

Czegoś chyba brakuje przed słowem „arena”...

Ten stadion jest niegodny!

W Warszawie w 2015 roku finał Ligi Europy wygrała Sevilla. W Gdańsku w 2021 r. w finale LE zwyciężył Villarreal. Nawet w Superpucharze Europy – na stołecznym Stadionie Narodowym – tryumfatorem został Real Madryt. Nic dziwnego, że fani Chelsea nerwowo patrzyli na hiszpańskiego rywala w polskim finale... Poza tym wrażenia przyjezdnych kibiców londyńskiego klubu były ograniczone przez postrzeganie związane z obiektem, gdzie odbywał się „Wrocław Final 2025”. Gdy po raz pierwszy go zobaczyli, nie zaimponował im i uważali go za... niewystarczająco godny, aby został wykorzystany przy tak dużej imprezie.

Dopiero po pewnym czasie Anglicy zrozumieli, że przywieziono ich... na stadionik... Parasola Wrocław. Byli zdziwieni także boiskiem, które znajdowało się obok Parasola, z innymi bramkami – gdzie występują gracze KS Rugby Wrocław. Skąd takie zamieszanie? Na Stadionie Sportowym „Lotnicza” zorganizowano bowiem strefę kibiców Chelsea. Stosunkowo bliżej na finał mieli kibice Betisu, których strefa została zorganizowana na ul. Królewieckiej, także niedaleko głównej areny. Ogólna strefa kibica znalazła się na rynku.

Skomplikowane nazewnictwo

Finał można więc było celebrować będąc tuż obok wielu miejskich zabytków, gdzie dodatkowo odbył się Fan Festival z okazji decydującego meczu Ligi Konferencji, pod Starym Ratuszem, otwartym dla wszystkich, nie tylko kibiców klubów grających w finale. Kibice na finał wyruszali więc z rożnych części miasta. Na niepewność miłośników Chelsea wpłynął fakt, że nie rozpoznali nazwy obiektów, których poprzednio prawie nikt z nich nigdy nie odwiedził. Stadion na ul. Lotniczej był tylko jednym z kilku, o którym w międzyczasie słyszeli. Nawet w oficjalnych materiałach przygotowanych na finał przez organizatora używano różnych nazw w odniesieniu do areny finałowej. Nie ułatwiał fakt, że nazwa „Stadion Miejski” została użyta jako pierwsza podczas meczów na Euro 2012. Alternatywnie mówiono również Stadion Wrocław. Tę nazwę faworyzuje obecnie UEFA, ale trzeba było jeszcze wspomnieć o „Wrocław Stadion”, czyli o stacji kolejowej znajdującej się obok obiektu. Z kolei tramwaje i autobusy zatrzymują się na przystanku Tarczyński Arena (Lotnicza) oraz Tarczyński Arena (Królewiecka). To tylko komplikuje sprawę.

UEFA nie uznaje innych sponsorów niż ci, którzy podpisali kosztowne umowy z nią samą. Z tego powodu odmawia reklamowania firmy, która wykupiła prawo do nazwy głównego stadionu we Wrocławiu. Unika jakiegokolwiek słowa o tym sponsorze.

Puchar Europy Wschodniej

Bez wątpienia jednak stadion imponuje. Wrocław pokazuje spory postęp, jeśli chodzi o prestiż finału Ligi Konferencji. Bliżej mu wręcz do finałów Ligi Mistrzów i Ligi Europy, a nie do lekceważonego odłamu głównej części pucharowej rodziny. Pomógł w tym fakt znacznego zwiększenia pojemności obiektu finałowego. Stadion we Wrocławiu może pomieścić ok. 45000 osób, ale tym razem ograniczono go do 41300 z powodów bezpieczeństwa. Poprzednie finały Ligi Konferencji oglądało natomiast 19597 widzów w 2022 w Tiranie, 17363 w 2023 w Pradze i 26842 w 2024 w Atenach.

Do tej pory jest to więc impreza... wschodnioeuropejska. Grecy rzecz jasna dodadzą, że południowo-wschodnia, tym bardziej ze ich wielcy rywale z Turcji będą gospodarzami finału w Stambule w 2027 roku, po Lipsku, w którym za rok odbędzie się pierwszy finał Ligi Konferencji na „Zachodzie” (rzecz jasna biorąc też pod uwagę, że miasto to było w przeszłości w NRD, a nie po drugiej stronie Żelaznej Kurtyny).

Może kiedyś UEFA wprowadzi trochę więcej lokalnego kolorytu w swoje finałowe wydarzenia. We Wrocławiu bardzo plątała się z językiem polskim i kazała wszystko tłumaczyć na angielski. Czasem oficjalnie zwracano się do WrocŁawia, a czasem do WrocLawia. Zawsze był zaś finaL, a nie finał. Jednakże gdy w środę na Dolnym Śląsku lunął deszcz, takie sprawy stały się natychmiast mniej znaczące. Przynajmniej kibice Chelsea cieszyli się, że przeznaczono dla nich południową część obiektu. Umożliwiło im to wstęp przez Niebieskie Wejście, całkowicie pasujące do The Blues, czyli Niebieskich. Tym czasem północna część trybun potrzebowała skorzystać z Czerwonego Wejścia, co w połączenie z zielonymi kolorami Realu Betis bardzo przypominało barwy lokalnego klubu, czyli Śląska Wrocław.

Niestety, po spadku z ekstraklasy Śląska to raczej nie pocieszy.

Z DRUGIEJ STRONY

Paweł Czado



Liczy się klata

Blue is the colour, football is the game! - we Wrocławiu słowa hymnu Chelsea zabrzmiały wyjątkowo dumnie. Londyński klub przechodzi do annałów europejskiego futbolu: jest przecież pierwszą drużyną na Starym Kontynencie, która wygrała wszystkie aktualne puchary - Ligę Mistrzów, Ligę Europy i Ligę Konferencji.
Końcowy wynik jest o tyle mylący, że łatwo londyńczykom nie było; złe były miłego we Wrocławiu dla Chelsea początki... Do przerwy przegrywała, bo szybko straciła bramkę i długo nie potrafiła się ogarnąć. Ba, niewiele wskazywało, że w ogóle będzie w stanie odwrócić losy meczu! Do przerwy wyglądała przecież jak bezradny bobas. A jednak w drugiej połowie potrafiła przeistoczyć się w potwora.
Przyznam, że rozglądałem się u londyńczyków za nowym Ngolo Kante, malutkim artystą wśród wyrobników (167 cm), specjalistą od wślizgów i odbiorów. Właśnie ten piłkarz jest dla mnie symbolem, uzmysławia bowiem dobitnie, że w noszeniu fortepianów też można być wybitnym. Kante przez lata świetnie wkładał kij w szprychy, a trudno zbudować mocny zespół właśnie bez takiego człowieka z kijem. Przewidywał, przeszkadzał, odbierał - coś jak Waldemar Matysik w reprezentacji Polski podczas hiszpańskiego mundialu, choć fizycznie było mu raczej bliżej do Claude'a Makelele (centymetr niższy) niż do Matysika.
W Chelsea Kante grał przez siedem sezonów, do 2023 roku, a znalezienie następcy, czy też następców dla kogoś takiego - nie jest jednak takie proste. Dlatego dziś w moim mniemaniu Chelsea gra inaczej niż jeszcze kilka sezonów temu. We Wrocławiu rolę Kante obecnie wzięło na siebie dwóch świetnych defensywnych pomocników – Ekwadorczyk Moises Caidedo i Argentyńczyk Enzo Fernandez, aktualny mistrz świata. Ten pierwszy wyszedł z czarnej masce, niczym Zorro, to efekt drobnej kontuzji policzka doznanej w niedawnym spotkaniu z Newcastle. Miałem przeczucie, że od gry tych dwóch środkowych pomocników o wielkich umiejętnościach – w tym defensywnych – wiele, być może nawet wszystko, będzie zależeć. Od początku widać było, że Latynosi to tłoki, zaimponowało mi, że mimo niekorzystnego początku potrafili pchać grę do przodu, pchać, pchać nieustannie, wszystko obrócić na korzyść Chelsea. No i stało się! W drugiej połowie Enzo Fernandez świetnie wszedł za plecy środkowego obrońcy i wystarczyło, że musnął piłkę, a Chelsea wróciła do gry. Ar-gen-ti-na, Ar-gen-ti-na!
Ale to nie koniec! Zachwyciła mnie akcja, która dała londyńczykom prowadzenie. Tak myślę, że była to najważniejsza bramka w dziejach futbolu zdobyta klatką piersiową. Kiedyś mówiło się, że wystarczy dołożyć głowę. Senegalczyk Nicolas Jackson udowodnił, że klatka piersiowa może być dla piłkarza równie cenna. Wystarczy dołożyć klatę! Trzeci gol Sancho i czwarty „Zorro” - były już tylko konsekwencją działających nienagannie tłoków. Chelsea więc zatriumfowała, pokazała nerwy ze stali oraz żelazną konsekwencję.
W efekcie niebieski wziął górę nad zielonym. Przyznacie: to była świetna reklama futbolu i świetnie, że miało to miejsce akurat na Dolnym Śląsku. Mogliśmy bić brawo u siebie. Teraz chodzi o to żeby...bili brawo gdzie indziej nam! Tak szczerze mówiąc mam jednak wątpliwości, że za mojego życia polska drużyna zdobędzie europejski puchar. Chciałbym oczywiście się mylić.

Sport 340c392578

Niebiescy gromią Zielonych

Znakomity finał we Wrocławiu! Chelsea w drugiej połowie zmiotła Betis i może cieszyć się z kolejnego sukcesu.

POLAK KRÓLEM STRZELCÓW

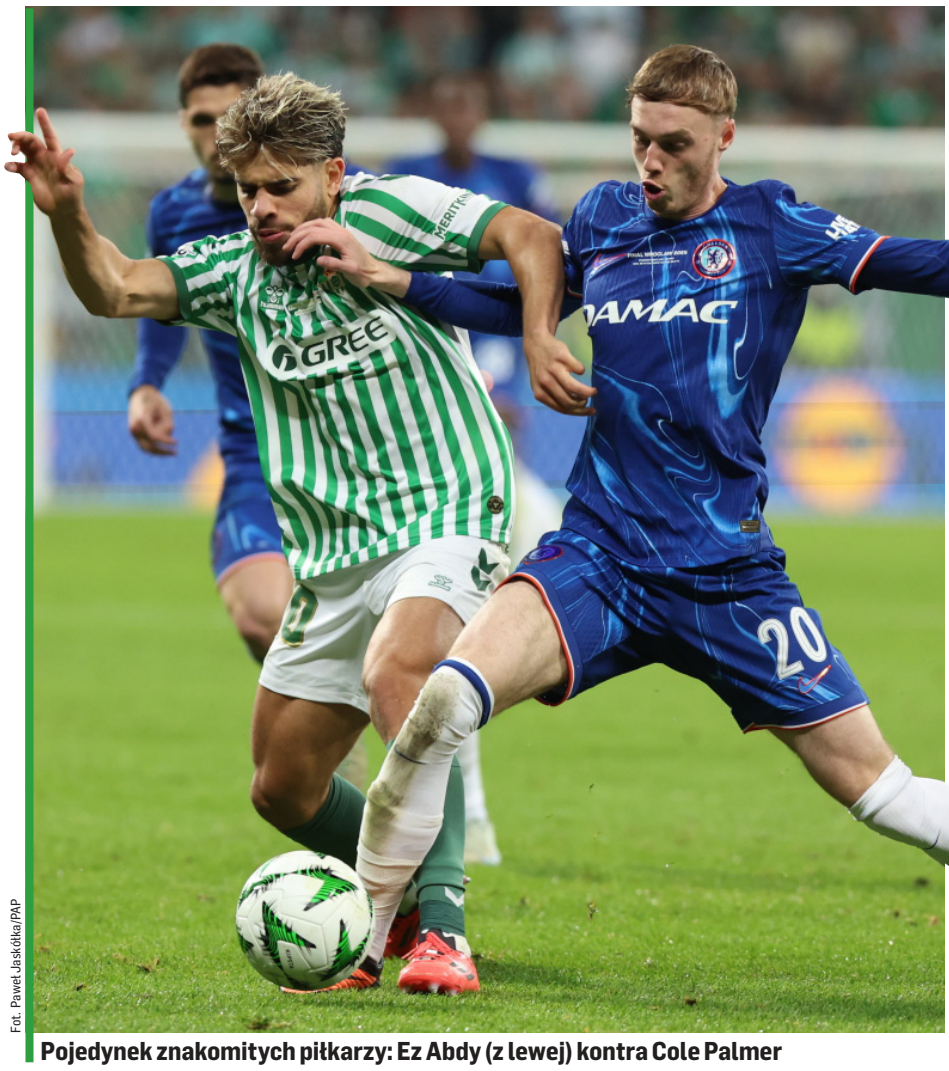
■ Krzysztof Piątek z Istanbul Basaksehir FK z dziewięcioma golami został królem strzelców Ligi Konferencji, której finał rozegrano we Wrocławiu. W czołówce jest jeszcze jeden polski akcent. Piątek wyprzedził m.in. Afimico Pululu, który dla Jagiellonii zdobył osiem goli. Tyle samo strzelił jeszcze Armandys Kucys z NK Cejle.

The Blues przyjechali do Wrocławia po triumf w piątych europejskich rozgrywkach, wygrywając wcześniej w Lidze Mistrzów, w Lidze Europy, w Pucharze Zdobywców Pucharów i dwukrotnie zdobywając Superpuchar Europy. Teraz triumfuje w Lidze Konferencji i inkasuje w nagrodę 7 mln euro (przegrany dostał 4 mln).

Niesamowity Isco

Już pierwsze minuty pokazały, że nie będzie to tak niemrawy finał, jak ten przed tygodniem w Bilbao w Lidze Europy. Nie mogło być zresztą inaczej zważywszy na wspaniały doping kibiców z Hiszpanii na wrocławskim stadionie. Był fantastyczny i niósł zespół trenera Manuela Pellegriniego. Wprawdzie pierwszy celny strzał po indywidualnej akcji zanotował Cole Palmer, ale po kilku minutach to Real Betis prowadził! Fatalną stratę w środku pola zaliczył Maio Gusto (zmieniony w przerwie), piłkę przejął Isco i kiedy wszyscy myśleli że będzie strzelał, znakomicie zagrał do Ez Abde. Marokańczyk, od pierwszych minut sprawiający kłopoty obrońcom The Blues, przymierzył idealnie, więc Filip Jorgensen musiał wyciągać futbolówkę z siatki. Zaraz potem Duńczyk znakomicie interweniował po strzale zza pola karnego w wykonaniu Marca Bartry. To były znakomite minuty w wykonaniu niesionych dopingiem fanów Los Verdiblancos. Duża w tym zasługa niezwykłego w środku pola Isco, który kierował grą swojego zespołu, a który właśnie co został powołany do reprezentacji Hiszpanii na finałowy turniej Ligi Narodów.

W 21 min drużyna z Andaluzji miała kolejną znakomitą okazje. Ez Abde wyłożył piłkę Johnny'emu Cardoso, ale tę na róg wybił Benoit Badiashile. Trener Pellegrini złapał się za głowę. Chelsea? Nie miała pomysłu na dobrze grającego rywala, który grał z przewagą jednego zawodnika: niesamowitych kibiców na trybunach. Enzo Maresca bezradnie tylko kręcił głową. Próbował Palmer, ale to było za mało na świetnie zmotywowanego i bardzo dobrze grającego przeciwnika. Do przerwy londyńczycy oddali ledwie jeden celny strzał na bramkę Adriana.



Fot. Paweł Jaskółka/PAP

Pojedynek znakomitych piłkarzy: Ez Abdy (z lewej) kontra Cole Palmer

FINAŁ LIGI KONFERENCJI

■ **Real Betis – Chelsea FC 1:4 (1:0)**
1:0 – El Abde (9), 1:1 – Fernandez (65, głową), 1:2 – Jackson (70), 1:3 – Sancho (83), 1:4 – Caicedo (90+1).
BETIS: Adrian – Sabaly, Bartra, Natan, R. Rodriguez (46. Perraud) – Antony, Cardoso (85. Lo Ceslo), Fornals (85. Altmira), Isco, Ez Abde (53. J. Rodriguez) – Bakambu (73. Rubal). Trener Manuel PELLEGRINI.
CHELSEA: Jorgensen – Gusto (46. James), Chalobah, Badisahile (61. Colwill), Cucurella – Neto (61. Sancho), Caicedo, Fernandez, Palmer (87. Guiu), Madueke – Jackson (80. Dewsbury -Hall). Trener Enzo MARESCA.
Sędziował Irfan Peljto (Bośnia i Hercegowina**). Widzó**w 39754. **Żółte kartki**: Caicedo, Antony – Palmer.

Palmer w grze

Kilka minut po przerwie spora strata Betisu, kiedy kontuzjowany musiał opuścić boisko jeden z najlepszych na murawie Marokańczyk Ez Abde. W 55 min interweniujący Adrian staranował Senegalczyka Nicolasa Jacksona, ale o karnym nie mogło być mowy, bo najpierw trafił w piłkę. The Blues zaczęli być groźniejsi z przodu. Przeszli na grę trójką środkowych obrońców, a dobrą zmianę dał starający się poderwać kolegów kapitan Reece James. Po godzinie trener Maresca dokonał kolejnych zmian, wprowadzając m.in. Jadona Sancho. Chelsea miała optyczną przewagę, atakowała, ale bez konkretów: za dużo było koronkowej gry, za dużo podań, a za mało strzałów.

Tak było jednak jedynie do 65 minuty, kiedy najlepszy w londyńskim zespole Palmer idealnie dośrodkował z prawej strony w kierunku Fernandeza. Argentyński mistrz świata z 2022 uprzedził środkowych obrońców i pięknym uderzeniem głową wyrównał. Bitwa rozgorzała od nowa, ale teraz przewaga była po stronie Wyspiarzy, którzy kilka minut po bramce na 1:1 zdobyli kolejnego gola!

Rezerwowy Jesus Rodriguez zupełnie nie radził sobie z Palmerem, który ogrywał Hiszpana jak trampkarza. Po kolejnym znakomitym dośrodkowaniu w kierunku Jacksona, który nawet nie głową, a klatką piersiową – sytuacyjnie – skierował piłkę do siatki, londyńczycy już prowadzili. Mocno cofnięci zawodnicy Betisu byli w tym momencie tłem dla rozpędzonego rywala.

Dwa trafienia w końcówce

Kilka minut przed końcem było po meczu po akcji rezerwowych The Blues. Kiernan Dewsbury-Hall, który dopiero co wszedł na boisko, zagrał do Sancho, który znakomitym uderzeniem trafił pod poprzeczkę. W doliczonym czasie trafił jeszcze z dystansu reprezentant Ekwadoru Moises Caicedo i londyńczycy w II połowie zmietli rywala z boiska. Puchar Ligi Konferencji, który przed meczem wniósł na boisko Michał Żewłakow, ekipie Chelsea wręczył prezydent UEFA Aleksander Ceferin. Feta kibiców i piłkarzy trwała we Wrocławiu przez całą noc. Najlepszym piłkarzem spotkania został – całkowicie zasłużenie - Cole Palmer. Betis? Płakali wszyscy - i kibice, i piłkarze Los Verdiblancos…

Z Wrocławia
Michał Zichlarz

TRIUMFATORZY LIGI KONFERENCJI

■ 2022 – AS Roma
■ 2023 – West Ham United
■ 2024 – Olympiakos Pireus
■ 2025 – Chelsea FC

Najazd kibiców

Aż 70 tysięcy fanów z całej Europy przyjechało do Wrocławia!

Finał europejskich rozgrywek odbył się w Polsce po raz trzeci. W 2015 roku w Warszawie w finale Ligi Europy Sevilla FC pokonała ukraińskie Dnipro. W 2021 w Gdańsku inny hiszpański klub - Villarreal - w serii karnych okazał się lepszy od Manchesteru United. Teraz przyszedł czas na Wrocław.

Zawrotne ceny

W środę stolica Dolnego Śląska stała się stolicą europejskiego futbolu. Na finał zjechało mnóstwo fanów z całego kontynentu, przede wszystkim oczywiście z Londynu i Sewilli. Choć oba kluby otrzymały od organizatora, czyli UEFA, maksymalną pulę 12,5 tys. wejściówek, to fanów The Blues i drużyny z Andaluzji pojawiło się Wrocławiu o wiele więcej. - Przyjechało nas 20 tysięcy. Część leciała z Malagi do Katowic, Krakowa i Wrocławia, część podróżowała przez Mediolan, Berlin, a jeszcze inni lecieli przez Oslo. Niektórzy wynajmowali też czartery, ale tam koszty były już bardzo wysokie – mówił Jose Manuel, który za całą eskapadę miał zapłacić 300 euro. Z kolei Anglicy docierali na Dolny Śląsk lotami rejsowymi.

Koszt biletu na mecz dla fana Betisu czy Chelsea nie był wygórowany, wynosił 25 euro. Prawie tyle samo, bo 20 euro kosztował okolicznościowy szalik, który można było kupić pod stadionem. Wejściówki dla innych fanów, w zależności od kategorii, to już znacznie wyższe kwoty, bo od 45 do 190 euro. Oczywiście miejsca w pierwszym rzędzie to już inna para kaloszy: 450 euro, czyli 1900 zł! Drogo było też dla kibiców w samym mieście. Ceny za kwatery w ostatnich dniach wręcz poszybowały: za noc nawet 2000 zł!

Dla Betisu było to historyczne wydarzenie, pierwszy finał europejskich pucharów. „Wrocław jest pomalowany na Zielono-biało!" - ekscytowali się kibice andaluzyjskiego klubu. Kibice „Los Verdiblancos" byli bardziej widoczni i głośniejsi w centrum miasta, gdzie zlokalizowana była „fan zona", czyli strefa dla kibiców. Mieli też znaczną przewagę na stadionie.

Nic dziwnego, że pojawiły się wzmocnione siły policyjne - z całej Polski do Wrocławia ściągnięto dodatkowo 2 tys. policjantów, wspierali ich koledzy z Anglii i Hiszpanii. Niestety, nie obyło się bez bijatyk. Zaczęło się już we wtorek, w dniu meczu było podobnie. Fani rzucali w siebie krzesłami z ogródków. Policja użyła wodnej armatki i granatów hukowych…

„Gucio" i inni

Organizatorzy zadbali o atrakcje. W porannych godzinach na wrocławskim rynku pojawili się polscy ambasadorzy finału Ligi Konferencji, czyli wielokrotni reprezentanci Polski: Michał Żewłakow, Jerzy Dudek czy Mariusz Lewandowski. Chelsea w stolicy Dolnego Śląska wspierali byli zawodnicy londyńskiego klubu, choćby Joe Cole, były reprezentant Anglii, czy Steve Sidwell.

Nam na wrocławskim rynku udało się spotkać inną piłkarską gwiazdę z przeszłości: Krzysztofa Warzychę. – Zdobyłem dwa bilety i przyleciałem z synem. W Polsce, u siebie w Chorzowie zostaję do niedzieli, potem wracamy do Grecji – mówił nam popularny „Gucio", legenda Ruchu i Panathinaikosu, 50-krotny reprezentant Polski, który teraz wiedzie spokojne życie pod Akropolem. Obecnie nie jest zaangażowany w żaden futbolowy projekt.

Michał Zichlarz

Sport 340c392578

Nie ma powodów do smutku



Rozmowa z **Piotrem Mosórem**, byłym zawodnikiem siedmiu ekstraklasowych klubów, którego syn gra w Rakowie Częstochowa

W częstochowskim klubie dominuje smutek po wicemistrzostwie Polski. Słusznie?

- Jeśli tracisz na pięć kolejek przed końcem dorobek na mistrzostwo Polski, to jest to na pewno powód do niedosytu. A przecież w końcówce sezonu miał przewagę nad Lechem i wszystko w swoich rękach. Z drugiej strony, jest przecież w europejskich pucharach. Teraz trzeba myśleć, żeby w Lidze Konferencji przejść eliminacje, to dla drużyny będzie najlepsza nagroda za cały udany sezon. A smucić się nie ma czym. Rok temu Raków nie był w pucharach, teraz wrócił do nich. Wrócił trener Marek Papszun i zbudował monolit, który do ostatniej minuty walczył o mistrzostwo Polski. Tak trzeba na to patrzeć.

W którym momencie Kolejorz sprzątnął Medalikom zawieszane już na szyjach złote medale?

- Zdecydowanie negatywnie odbił się mecz z Puszczą w Niepołomicach, gdy stracili bramkę i zwycięstwo w 93 minucie. To wtedy częstochowianie podali tlen goniącym im zespołom i tych punktów potem zabrakło. Drugi taki mecz, jaki przychodzi mi na myśl, to mecz z Jagiellonią i okoliczności, w jakich uciekły trzy punkty, czyli porażka po dwóch rzutach karnych. Te dwa mecze zadecydowały o tym, że nie zostali mistrzami Polski. I jeszcze w Szczecinie, gdzie grali w dziesiątkę i też przegrali 0:1, choć mieli w swoich rękach mecz. Trochę za dużo było tych zawalonych meczów, jak się walczy o tytuł.

Bez względu na okoliczności, to jednak trzeba mówić o sukcesie, a nie porażce drużyny?

- Nie wiemy, jakie było podejście klubu. Jakie były przedsezonowe założenia. Jeżeli zespół był budowany pod mistrza Polski, a nie udało się, to teraz trzeba zweryfikować plany i budować od nowa drużynę, którą stać będzie na skuteczną walkę w lidze i w europejskich pucharach. Legia i Jagiellonia pokazały, że można awansować do grupy, a Jaga dodatkowo, że można skutecznie grać na tych dwóch frontach.



Fot. Mateusz Porzucek/Pressfocus.pl

Ariel Mosór cieszy się z pierwszego gola w barwach Rakowa.

Plany Rakowa

Raków Częstochowa przedstawił plan przygotowań do nowego sezonu. Przewiduje on dwa zgrupowania i pięć sparingów. Podopieczni trenera Marka Papszuna powrócą z urlopów 19 czerwca i do końca miesiąca będą trenować w Częstochowie.

Na 28 czerwca mają zaplanowany pierwszy mecz kontrolny, w którym ich rywalem będzie beniaminek ekstraklasy Bruk-Bet Termalica Nieciecza. Od 30 czerwca do 7 lipca wicemistrzowie Polski będą przebywać na tygodniowym zgrupowaniu w Arłamowie i w jego trakcie zagrają ze słowacką drużyną FK Zeleziarnie Podbrezova (5 lipca). Prosto z Arłamowa 7 lipca udadzą się na drugie zgrupowanie do Holandii. Tam czekają ich trzy kolejne sprawdziany, ale na razie ujawniono tylko jednego ze sparingpartnerów. To wicemistrz Belgii Club Brugge, z którym zmierzą się 11 lipca. Do Częstochowy powrócą dzień później, na tydzień przed inauguracją rozgrywek ekstraklasy.

Zostawmy już rozgoryczenie właściciela i trenera Papszuna na boku, a odpowiedzmy na pytanie, w czym tkwiła siła Rakowa? Super obrona – to wszyscy wiedzą.

- Na pewno miał bardzo dobrego, młodego bramkarza. Na początku nikt nie spodziewał się, że Kacper Trelowski będzie tak dobrze sobie radził, a dla mnie był prawdziwym objawieniem sezonu. Niezły chłopak. Oczywiście defensywa, która z bramkarzem była monolitem. Każdy, kto wchodził do obrony, wiedział, co ma w niej robić. Jak grać. Również siła tkwiła mimo wszystko w jedności zespołu, współpracującego ze sobą w każdej formacji. To również dobra robota całego sztabu szkoleniowego.

Co z przodem? Zgadza się pan z opinią, że trochę ognia jednak brakowało w ataku?

- Mnie też brakowało takiego rasowego napastnika, który będzie w sezonie strzelał 16-17-18 bramek. Takiego prawdziwego killera. Jonatan Brunes strzelił ich 14, ale brakowało z przodu drugiego, podobnego napastnika, który współpracowałby i jednocześnie rywalizował. Na pewno brak Iviego Lopeza, który nie grał w kilku meczach z powodu kontuzji, osłabił siłę uderzeniową Rakowa.

Patrząc na obiekty przy Bułgarskiej, Łazienkowskiej czy na Chorten Arenę w Białymstoku, to stadion w Częstochowie nazwany przez kibiców żartobliwie „kurnikiem", nie przystaje do sportowego poziomu drużyny. To niezła pułapka czyhająca na zawodników, zwłaszcza zagranicznych, chcących przyjść do Rakowa?

- Oczywiście, że wicemistrzom Polski nie przystoi grać na czymś takim. Wiadomo, właściciel Michał Świerczewski łoży pieniądze na klub, utrzymuje wszystko, mądrze zbudował zespół. Teraz jednak włączyć się powinno miasto, pomóc klubowi i wreszcie wybudować nowy stadion. Nie może wszystko się opierać na panu Świerczewskim i liczyć na to, że za swoje pieniądze wybuduje w Częstochowie nową arenę. Żużlowcy już mają swój stadion, jest przepiękna hala, a brakuje stadionu na 12-15 tysięcy widzów. To byłby obiekt na miarę dzisiejszych wyników, a ten, na którym teraz grają, powinien być obiektem treningowym dla młodzieży.

Zapytam o syna. Jesteście zadowoleni z tego sezonu i zamiany Piasta na Raków?

- Arielowi bardzo dobrze szło do momentu, gdy poważna kontuzja, jakiej doznał w meczu młodzieżowej reprezentacji, wyeliminowała go na jakiś czas z gry. Prawie trzy miesiące pauzował, niedawno wrócił na boisko i wiadomo było, że musi walczyć o miejsce w składzie. Generalnie nie było źle, bo 11 ligowych meczów w pierwszym sezonie w Rakowie zaliczył, ale wiadomo, że zawsze chce się więcej. Poza tym sezon dla niego jeszcze się nie skończył.

Nie skończył?

- Nie, ponieważ mamy jeszcze w czerwcu mistrzostwa Europy, jeśli oczywiście zostanie powołany. Zobaczymy jak spiszemy się na Euro i dopiero wtedy podsumujemy sezon. Jest grupa fajnych zawodników, zobaczymy, co z tego trener Adam Majewski stworzy. Myślę, że mogą powalczyć. W eliminacjach zagrali bardzo fajne dwa mecze z Niemcami. Przegrali na wyjeździe, a mogli już do przerwy zamknąć mecz, a u siebie zremisowali i wywalczyli awans. Tam młody złapał kontuzje. Teraz 1 czerwca zaczynają przygotowania i zobaczymy.

Jak prowadzić syna, który jest dobrym piłkarzem, a jednocześnie porządnym, młodym chłopakiem?

- Prowadzi go menedżer Kamil Burzec

Nie pytam o sportowe prowadzenie...

- Z żoną pracujemy nad tym, by Ariel zawsze był uśmiechnięty. Zadowolony z tego, co ma i przede wszystkim pracował nad sobą. To jest najważniejsze dla nas.

Czyli za sukcesami w karierze zawsze stoi dom rodzinny?

- Jest bardzo ważny. W Warszawie mieszkał z nami. Potem przeprowadził się na Śląsk i mieszkał u mojej teściowej, czyli u swojej babci. A teraz już mieszka sam i musi sobie dawać radę. A my przyjeżdżamy na każdy jego mecz, wspieramy całą rodziną i dopingujemy, by coś w życiu osiągnął.

Rozmawiał Zbigniew Cieńciała

Trener Śląska zostaje

Ante Simundza pozostanie trenerem spadkowicza z ekstraklasy, Śląska Wrocław. Słoweniec podpisał umowę do czerwca 2026 roku, z opcją przedłużenia na kolejne dwa sezony.

- To dla nas pierwszy i najważniejszy krok w budowie zespołu – powiedział prezes klubu Michał Mazur . Simundza przejął Śląsk zimą i miał za zadanie utrzymać zespół w ekstraklasie. Nie udało się, ale Słoweniec zebrał bardzo pozytywne oceny i działacze nie ukrywali, że bardzo chcieliby, aby pozostał na stanowisku. W środę Śląsk poinformował, że po długich negocjacjach udało się dojść do porozumienia i szkoleniowiec podpisał nowy kontrakt.

- Jako klub znaleźliśmy się w trudnej, pierwszoligowej rzeczywistości, w której jednak chcemy spędzić jak najmniej czasu. Wierzymy, że mocno pomoże nam w tym właśnie Ante Simundza. Przed nami wiele wyzwań, jednak nikt nie ma wątpliwości, że taki szkoleniowiec to bardzo mocny punkt Śląska – skomentował prezes Mazur. Simundza przyznał, że niebagatelną rolę w podjęciu decyzji o pozostaniu we Wrocławiu odegrała atmosfera. - Pokochałem ten klub, pokochałem to miasto. Jestem tu stosunkowo krótko, ale przez ten czas poznałem wiele wspaniałych osób, dla których Śląsk Wrocław jest wszystkim - stwierdził.

Mraz odchodzi z Motoru

Podpisanie nowego kontraktu z Samuelem Mrazem nie będzie możliwe - powiedział Łukasz Jabłoński, wiceprezes Motoru Lublin. Słowak w Motorze grał od lutego ubiegłego roku, a w minionym sezonie był najskuteczniejszym strzelcem drużyny zdobywając 16 goli, co dało mu czwarte miejsce na liście snajperów ekstraklasy. W efekcie poprawił klubowy rekord Leszka Iwanickiego, który w sezonie 1984/85 z 14-bramkową zdobyczą został królem strzelców najwyższej klasy rozgrywkowej. 28-letni napastnik prawdopodobnie trafi do wicemistrza Szwajcarii, Servette FC Genewa, który występować będzie w eliminacjach Ligi Mistrzów.

Sport 340c392578

Rewolucji nie będzie, ale...

W Piaście zmienia się trener, inaczej będzie też wyglądała kadra w nowym sezonie. Aż dziesięciu piłkarzom kończą się umowy. Ilu z nich zostanie? Kto może odejść?

PIAST GLIWICE

Gliwiczanie na zakończenie misji trener Aleksandara Vukovicia spokojnie utrzymali się w ekstraklasie. Od dawna jednak wiadomo, że wraz ze zmianą szkoleniowca zmienić ma też się kadra i podejście do budowania drużyny. Nie bez kozery władze klubu z Okrzei zatrudnili Szweda Maxa Moldera. 40-latek w swoim kraju wyróżniał się właśnie promowaniem piłkarzy i stawianiem na młodych. A jako że w dopiero co zakończonym sezonie Piast raczej słynął ze stawiania na doświadczonych zawodników, spekulacji o skali nadchodzących zmian nie brakuje.

Mniejsze wydatki na pensje

Odniósł się do nich podczas Gali Ekstraklasy prezes Łukasz Lewicki, cytowany przez portal goal.pl. – Staramy się, aby pensje dla piłkarzy nie były już tak dużym obciążeniem finansowym dla Piasta. To pokazuje zatem, że rewolucji kadrowej nie będzie. Zmiany oczywiście dotkną zespół, ale będzie to miało na celu wzmocnienie drużyny. Wszystko będzie uzależnione od tego, jak potoczą się rozmowy z piłkarzami, którym kontrakty wygasają. To ma dla nas priorytetowe znaczenie. Na pewno kilka transferów będzie zrealizowanych – wyjaśnił prezes Piasta.

Kilku odejdzie

Skoro priorytetem są piłkarze z kończącymi się kontraktami, to warto im się przyjrzeć. W poprzednim tygodniu pisaliśmy, że jako jeden z pierwszych może z odejść Tomas Huk. Słowacki obrońca nie tylko w ostatnim sezonie był ważnym ogniwem Piasta, a w końcówce rozgrywek błyszczał nawet skutecznością. Wszystko jednak wskazuje na to, że Huka kibice przy Okrzei już nie zobaczą, bowiem ten ma konkretną ofertę z Sigmy Ołomuniec, a jak donoszą czescy dziennikarze, prowadzi z tym klubem negocjacje. W Piaście może już nie zagrać również Maciej Rosołek. Napastnik, który pełnił też rolę skrzydłowego, był często wystawiany przez trenera Vukovicia, ale swoją grą i liczbami się nie bronił przed rosnącą krytyką ze strony fanów. Jak przekazał dziennikarz Sebastian Staszewski, jeszcze w kwietniu klub miał możliwość przedłużenia umowy o dwa lata, ale z niej nie skorzystał i lada chwila za darmo zawodnik może zmienić klubowe barwy. Usługami piłkarza mają interesować się kluby z ekstraklasy, jak i zagranicy.

IM WYGASAJĄ KONTRAKTY 30 CZERWCA 2025:

- Bartłomiej Jełonek (bramkarz)
- Miguel Nobrega (obrońca),
- Miguel Munoz (obrońca),
- Tomas Huk (obrońca)
- Akim Zedadka (obrońca)
- Tomasz Mokwa (obrońca)
- Tihomir Kostadinov (pomocnik)
- Miłosz Szczepański (pomocnik)
- Filip Karbowy (pomocnik)
- Maciej Rosołek (napastnik)



Fot. Łukasz Sobala/PressFocus

Akim Zedadka ma w umowie opcję przedłużenia kontraktu i kibice chcieliby, żeby został.

Negocjacje w toku

Kto jeszcze może opuścić szeregi gliwiczan? Biorą pod uwagę stricte formę sportową, to Miguel Nobrega. Portugalski obrońca nie wywalczył sobie miejsca w składzie Piasta na dłużej, a gdy już dostawał szansę gry, to nie spisywał się najlepiej. Pomocnik Filip Karbowy prawie w ogóle nie grał, więc jego zatrzymywanie wydaje się pozbawione sensu. Są jednak piłkarze, którzy byli i mają być ważnymi ogniwami. Z pewnością tak postrzegać należy Akima Zedadkę. Prawy obrońca udanie zastąpił odstawionego na boczny tor Arkadiusza Pyrkę. W umowie 29-latka zawarto opcję przedłużenia kontraktu o rok i jeśli nie będzie przeciwwskazań, to zostanie ona aktywowana. Sporo grali i dawali drużynie dwaj pomocnicy, Tihomir Kostadinow i Miłosz Szczepański. Tu wiele zależy od negocjacji w sprawie warunków nowych umów. Pod koniec sezonu więcej grał Miguel Munoz, ale oceniając jego formę sportową należy postawić znak zapytania. Z kolei z zawodników mających ważne umowy niepewna jest przyszłość Fabiana Piaseckiego. Doświadczony napastnik, który spisywał się fatalnie i nie strzelał goli, miał w pewnym momencie nawet trudności z łapaniem się do kadry czy do gry w ogóle. Wobec tego obie strony będą raczej starały się znaleźć polubowne rozwiązanie tej sytuacji. Sam Piasecki ma jeszcze rok ważną umowę z Piastem. Tak czy owak, władze klubu czeka jeszcze wiele rozmów, od których zależy przyszłość kadry gliwiczan.

(KRIS)



Fot. Marta Badowska/Pressfocus.pl

Wiktor Nowak już zimą podpisał z Górnikiem 3-letni kontrakt.

Młodzieżowcy i obcokrajowcy

Nowy szkoleniowiec na ławce, w kadrze wielu nowych zawodników, czyli... jak co pół roku w Zabrzu.

GÓRNIK ZABRZE

Ligowcy dopiero zakończyli sezon, a górnicza ekipa już ma w kadrze bez mała pół tuzina nowych graczy. A to jeszcze nie wszystko!

Budują nowego Górnika

Ligowe rozgrywki Górnik skończył dopiero na 9. pozycji. To w dużej mierze wina klubowych działaczy, dwójki z zarządu: Bartłomieja Gabrysia i Michała Siarę oraz dyrektora Łukasza Milika, którzy w połowie kwietnia zwolnili Jana Urbana. Wtedy zespół był na 7. miejscu, z realną szansę wyrównania wyniki sprzed roku, czyli uplasowania się na szóstej lokacie. Teraz jest pozycja dużo niższa, a z tego powodu o prawie milion złotych mniej na koncie za miejsce w ligowej hierarchii. Zabrzanie dali się wyprzedzić na koniec nawet dwójce beniaminków, GKS-owi Katowice i Motorowi Lublin. A byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie bramka na 1:1 Luki Zahovicia, strzelona w doliczonym czasie sobotniego meczu z Koroną Kielce.

W Zabrzu mówią, że trzeba iść do przodu, czyli fundują - jak to w Górniku - kolejną rewolucję. Już w styczniu było wiadomo, że do górnośląskiego zespołu doszlusuje Wiktor Nowak z pierwszoligowego Znicza Pruszków. Ten były zawodnik juniorów Legii Warszawa podpisał z klubem z Zabrza trzyletni kontrakt. Za nim bardzo dobry sezon na pierwszoligowych boiskach, gdzie 20-latek błyszczał. Wystarczy tylko spojrzeć na jego liczby: 7 bramek i 6 asyst. To gracz środka pola, może grać i na „6" i wyżej. Gra w reprezentacji Polski do lat 20, nie przychodzi za darmo. Wcześniej interesował się nim także wicemistrz Polski, Raków.

Pod koniec rozgrywek Górnik ogłosił najpierw ściągnięcie do siebie brazylijskiego napastnika Gabriela Barbosę, a zaraz potem greckiego piłkarza, także do przedniej formacji, Thodorisa Tsirigotisa. Ten pierwszy ma być jak... Leonardo Rocha, ale nie w Rakowie, a wcześniej w Radomiaku, gdzie jesienią 2024 roku trafiał raz za razem. Barbosa to typowa „9", a liczy 195 cm. W II lidze portugalskiej w barwach FC Penafiel strzelił 10 bramek w 22 grach.

Tsirigotis? Ma wejść w buty znanego w Zabrzu Georgiosa Giakoumakisa, który był w Górniku w pandemicznej wiośnie i latem 2020 roku, żeby potem grać w VVV Venlo, gdzie został królem strzelców Eredivisie, następnie trafić do Celticu Glasgow, a teraz przez MLS do Cruz Azul w Meksyku, gdzie gra razem z naszym Mateuszem Boguszem. 24-letni Tsirigotis dla drugoligowego greckiego Irakllisu w rozgrywkach 2024/25 strzelił 14 goli w 18 spotkaniach.

Kolejnymi nowymi zawodnikami Górnika będą zawodnicy GKS-u Tychy, o czym pisaliśmy we wtorek. Chodzi o rozchwytywanego bramkarza Marcela Łubika oraz dobrze radzącego sobie wiosną w I lidze Natana Dzięgielewskiego (7 bramek, 1 asysta). Ten drugi już podpisał z Górnikiem 3-letni kontrakt z opcją przedłużenia.

Pod okiem Gasparika

Górnik po ostatnim meczu pożegnał kilku zawodników: wypożyczonych Sinana Bakisa, Filipa Prebsla i Japończyka Yosukę Furukawę, a także Michała Szromnika, któremu 30 czerwca kończy się umowa. Bliski parafowania nowej jest za to Paweł Olkowski, któremu kontrakt także kończy się za miesiąc.

Kto w nowym sezonie będzie zawiadywał zespołem? Piotr Gierczak, który zastąpił Jana Urbana w połowie kwietnia, po meczu z Koroną poinformował, że to był jego ostatni mecz w roli pierwszego szkoleniowca. Jego miejsce ma zająć Michal Gasparik.

Słowak w przeszłości był związany z Górnikiem jako zawodnik, a było to w czasach trenera Adama Nawałki, konkretnie w 2011 roku. W ostatnich latach z sukcesami pracował w jednym z najsilniejszych słowackich klubów, „swoim" Spartaku Trnava, skąd pochodzi. Trzy razy zdobył Puchar Słowacji, w tym w maju po wygranej z MFK Rużomberok, a ligę w pięciu ostatnich sezonach kończył na wysokiej 3. pozycji. W sierpniu 2023 roku jego zespół wyeliminował z europejskich rozgrywek Lecha. 43-latek ma zająć się budową nowego Górnika, oby z równie dobrym skutkiem jak Jan Urban w ostatnich latach.

Michał Zichlarz

Sport 340c392578

Chorzowskie tłumaczenia

Niebieskie media klubowe podsumowały sezon 2024/25 razem z prezesem Sewerynem Siemianowskim, dyrektorem sportowym Tomaszem Foszmańczykiem i trenerem Dawidem Szulczkiem.

RUCH CHORZÓW

O wydarzeniach wiosny

Prezes Seweryn Siemianowski: - Między czarnym a białym jest wiele odcieni szarego. Boisko weryfikuje bardzo szybko. Nie możemy oceniać tego sezonu skrajnie negatywnie na wszystkich płaszczyznach, bo wszyscy razem zrobiliśmy wiele dobrego. Sukcesem sportowym było dojście do półfinału Pucharu Polski i niezła końcówka jesieni i wiosny. Okres wczesnowiosenny musimy skrytykować i nie ma podstaw, by go bronić. Chcieliśmy i oczekiwaliśmy czegoś więcej. Sami rozbudziliśmy nadzieje. Poza tym pierwszy raz zdobyliśmy licencję na następny sezon bez żadnego nadzoru, to historyczny moment. Rozwiązaliśmy układ i spłacamy go w małych ilościach, przez co jesteśmy wiarygodni. Mamy rekord sprzedaży gadżetów na poziomie 4 czy 5 milionów. Jesteśmy w czołówce medialnej w Polsce. W biznesie dołączyło do nas wiele firm. Jako duży plus trzeba też podkreślić rekord frekwencji XXI wieku, który pobiliśmy na Stadionie Śląskim. Nie wszystko było źle, tak jak to odbiera się przez pryzmat wyników pierwszego zespołu.

O przyczynach słabych wyników wiosną

Trener Dawid Szulczek: - Ogólnym wnioskiem jest to, że rozmijały się nasze oczekiwania i to, co było na boisku. Struktura naszej drużyny i atmosfera, jaka wytworzyła się po dwóch wiosennych spotkaniach, sprawiły, że niestety trudno nam było w kolejnych spotkaniach. Pomimo zwycięstwa w Pucharze Polski z Koroną i dobrego meczu z Termalicą nie przełożyliśmy tego na zwycięstwa i wpadliśmy w kryzys mentalny. Z tego też wynikają rzeczy, które zmieniamy w ostatnich tygodniach. Chodzi o tożsamość klubu, jakich zawodników chcemy oglądać, jakie mają prezentować cechy charakteru – odporność na stres, chęć wygrywania, mrówcza praca. Jako trener jestem niezadowolony z gry obronnej. Musimy poprawić sposób gry w swoim polu karnym. System gry, który wdrażamy, musi jeszcze bardziej się skorelować z tym, jakich piłkarzy ściągniemy latem. Uważam, że aspekt mentalny po spadku jest w drużynie kluczowy. Dopóki wygrywaliśmy, było z nim dobrze, a w momencie, kiedy pojawiały się problemy i przyszła wysoka porażka z Wisłą, potem z Arką – dało to o sobie znać. Mocniejsze drużyny nas zweryfikowały. Grały kolejny sezon na tym szczeblu, a jak pokazuje historia – I liga jest bardzo trudna.

O zimowym okienku transferowym

Dyrektor sportowy Tomasz Foszmańczyk: - Wyglądało tak, jak powinno; zgoła odmiennie do letniego, które było przeprowadzone w chaosie, reagowaniu, a nie planowaniu. Nie został wtedy zbudowany profil zawodnika Ruchu, bo nie było na to czasu. Zimą sztab przekazał nam swoje oczekiwania względem profili, jakich powinniśmy szukać i myślę, że takich piłkarzy znaleźliśmy. Na lewą obronę znaleźliśmy Dominika Preislera, który świetnie się zaprezentował. Jehor Cykało sprowadzony na środek obrony też się spełnił bardzo dobrze. Kuba Adkonis miał rywalizować z Bartkiem Barańskim w środku boiska na pozycji młodzieżowca. Chcieliśmy uniknąć sytuacji, gdy w niektórych meczach trenerzy musieli ściągać Bartka i trzeba był robić 2-3 zmiany, żeby wszystko połatać po kątem regulaminu o młodzieżowcach. Filip Lachendro to najbardziej wyróżniający się chłopak z rocznika 2006 w naszym regionie, który ma wielkie perspektywy, ale problemy zdrowotne uniemożliwiły mu rozwój. Kuba Bielecki to temat, który nie był do końca zaplanowany, ale postanowiliśmy, że damy mu szanse, widząc to, jak się zmienił. Jeśli nadal będziemy tak pracować nad transferami, to będzie tylko lepiej. Letnie okienko mamy zaplanowane i pewne rzeczy już się dzieją. Niektórzy zawodnicy są już z nami porozumieli.

O Jakubie Adkonisie

Trener Szulczek: - Zimą nie mieliśmy pewności, czy Bartek Barański u nas zostanie. Zagłębie Lubin również interesowało się powrotem Szymona Karasińskiego. Byliśmy pod ścianą i dogadaliśmy się z Legią w sprawie kapitana Polski U-17. W rezerwach Legii miał bardzo dobrą rundę i miał jechać na obóz z pierwszą drużyną. Nie udało nam się wprowadzić Kuby Adkonisa tak, jak chcieliśmy, bo Barański się rozchorował i „Adkoś" musiał od razu wskoczyć w jego buty. Stał się ofiarą spotkania z Wisłą Kraków. Widzieliśmy, jak wyglądał na treningach i w końcówce sezonu w wielu momentach prezentował się solidnie. Z tej perspektywy uważam, że gdybyśmy go inaczej wprowadzili – Barański numer 1, a Adkonis z ławki – to jego wejście byłoby płynniejsze i zaprezentowałby się z lepszej strony. Co do zapisów kontraktowych, ani razu nie zdarzyło się, by dyrektor przyszedł i powiedział mi, że Kuba musi grać. Byłem świadomy, że jak nie będzie grał Barański, to będzie grał Adkonis. Mieli rywalizować. Nie było tak, że ktoś musi zagrać tyle minut, a ktoś tyle.

Dyrektor Foszmańczyk: - Zapisy umowy wypożyczenia z Legią, które krążą w internecie, mijają się z prawdą. To też będzie dla nas wniosek, by nie opierać drużyny o chłopaków wypożyczonych, ale stawiać na swoich. Jeżeli jednak w składzie jest gradacja młodzieżowca jeden i dwa, to trudno się spodziewać, że gdy wypada jedynka, to trener korzysta z kogoś innego niż dwójka.



Fot. Marcin Bulanda/PressFocus

Dyrektor Foszmańczyk (z lewej) i prezes Siemianowski.

O ogólnej kondycji Ruchu

Prezes Siemianowski: - Po raz pierwszy od dawna jesteśmy nad kreską, jeśli chodzi o kapitał spółki, nawet 2,5 mln zł powyżej zera. Ten wskaźnik jest jednym z głównych obserwowanych przez Komisję Licencyjną. Wystawiliśmy głowę nad powierzchnię i postaramy się to utrzymać. Jesteśmy stabilni finansowo. Mamy swoje problemy, bo strona sportowa nieco „przykulała". Wielkie znaczenie mają przychody meczowe czy sprzedażowe. Chcemy iść własną drogą, stąd mam apel do wszystkich: jeśli chcemy się obrażać, że klub został w tej samej lidze, to klub znajdzie się w dużych kłopotach. Jeśli będziemy wspierać go na tym samym poziomie, to utrzymamy budżet na podobnym poziomie, a może nawet go zwiększymy. I liga bardzo mocno się rozwinęła i trudno się z niej wydostać już w pierwszym roku. Chcemy to jednak jak najszybciej osiągnąć.

O kwestii bezpieczeństwa po chuligańskich wybrykach na meczu z ŁKS-em

Prezes Siemianowski: - Aspekt bezpieczeństwa został zachwiany, ale wyciągnęliśmy wnioski. Wdrożyliśmy odpowiednie środki, by znowu na stadionie było bezpiecznie – i tak będzie. Mieliśmy spotkania w mieście i z odpowiednimi służbami. Będziemy grać następne mecze w bezpiecznej atmosferze.

O odejściach z drużyny

Prezes Siemianowski: - Mimo burzy wokół, nadal będziemy pracować w takim składzie, w jakim tu siedzimy. Będzie skorygowany sztab pierwszego zespołu.

Dyrektor Foszmańczyk: - Trzech najbardziej zasłużonych i doświadczonych piłkarzy już z nami nie będzie (Moneta, Sadlok, Starzyński – przyp. red.). Praktycznie wszyscy wypożyczeni wracają do macierzystych klubów. Zdecydowaliśmy się wykupić tylko Jehora Cykałę, bo ma ogromny potencjał. Jest też możliwość, że piłkarze, którzy mają kontrakty, nie zostaną w klubie, ale będą to transfery gotówkowe, na które będziemy musieli się zgodzić.

O przyjściach do drużyny

Dyrektor Foszmańczyk: - Błędem była zbyt liczna kadra. Każdy przyszedł z oczekiwaniami, że będzie grał, że będzie podstawowym zawodnikiem – a wypożyczeni, że wrócą do swoich klubów po pełnym sezonie. Jestem przekonany, że to było pokłosie zmian, które zostały wykonane latem. Także zmiany trenera, bo z Januszem Niedźwiedziem budowaliśmy pod system 3-4-3, co później zmieniliśmy na 4-3-3 i pod koniec okienka przeprowadziliśmy kilka transferów pod nowy model. Było nas po prostu za dużo. Co do oczekiwań, piłkarz Ruchu musi rozumieć swoje rolę, w jakim miejscu kariery się znajduje i czego od niego oczekujemy – czy spełnia te oczekiwania, czy jest tylko zmiennikiem. Trzeba myśleć o drużynie. Jeśli ktoś jest nastawiony tylko na siebie, to nie ma dla niego tu miejsca. Potrzebujemy szybkich skrzydłowych, chcemy wzmocnić środek obrony i środek pomocy. Czasem brakowało tam kreatywności, bo byliśmy dobrzy w fazach przejściowych, dobrze się ustawialiśmy, ale nie potrafiliśmy tego wykorzystać. Wiemy o jakiej charakterystyce piłkarzy potrzebujemy. Szukamy też napastnika do wzmocnienia rywalizacji. Planujemy 4, 5, 6 ruchów, chyba że ktoś jeszcze odejdzie. Liczę, że pierwsi zawodnicy dołączą już na pierwszy trening 17 czerwca.

O Nono

Trener Szulczek: - Gdy przyszedłem do Ruchu, dostał kilka szans na kredyt i kryteria, które musi spełnić, jeśli chce grać – odnośnie przygotowania motorycznego, poziomu tkanki tłuszczowej, poziomu na treningach. Nie spełnił ich ani zimą, ani w trakcie rundy. Teraz dostał je ponownie na piśmie. Jeśli chce wrócić do drużyny, musi spełnić wymagania. Mamy pewne oczekiwania.

O budżecie na kolejny sezon

Prezes Siemianowski: - Każdy z nas będzie miał wkład w budżet. Tak jak powiedziałem, jeśli nadal będziemy wspierać klub, to budżet będzie na takim samym poziomie albo nawet wyższym. Cały czas staramy się o pozyskiwanie dodatkowych funduszy z różnych źródeł. Jeśli będziemy pesymistami i wszyscy się odwrócą od klubu, będzie bardzo trudno. Dlatego apeluję: idźmy tą samą drogą, dużo się zdarzyło, ale to nie jest to, co było kilka lat temu. Pod względem finansowym będziemy w środku I ligi. 45-50 procent staramy się przeznaczać na pensje pierwszej drużyny. Znowu powalczymy o najwyższe cele. Nie deklarujemy z nożem na gardle, że wrócimy już w następnym sezonie, ale zawsze będziemy do tego dążyć, nieważne, ile to będzie trwało.

Opracował PTub

Sport 340c392578

Napompowany balonik

Wisła wygrała trzy ostatnie mecze, a Miedź nie zdobyła w nich punktu. Czy to będzie miało znaczenie?



Fot. Krzysztof Porębski/PressFocus

Kamil Antonik (z lewej) w tym sezonie strzelił Wiśle dwa gola. Dziś krakowianie też będą musieli na niego uważać.

Krakowianie i legniczanie chcą dziś zrobić przedostatni krok w drodze do ekstraklasy, ale uda się tylko jednym. Gospodarze półfinału baraży próbują wydostać się z 1. ligi od trzech lat, Miedź spadła rok po nich. Trener gości, Wojciech Łobodziński, już raz wprowadził Miedziankę do elity w, w 2022 roku deklasując rywali. Teraz będzie się o nią bił z klubem, w którym grał.

Spuścić powietrze

Biała Gwiazda miała szansę wrócić do ekstraklasy już rok po spadku. W półfinale baraży uległa na własnym stadionie Puszczy Niepołomice 1:4. Suchy wynik nie mówi wszystkiego o tej rywalizacji, bo Lucjan Klisiewicz dwa gole strzelił w samej końcówce, karcąc Wiślaków, którzy rzucili wszystkie siły do ataku. Jednym z kluczowych momentów była szybka decyzja Tomasza Tułacza o zmianie Emile'a Thiakane w 24 minucie. Senegalczyk nie panował nad emocjami i sędzia miał nawet prawo wyrzucić go z boiska za drugą żółtą kartkę. Oszczędził go, ale za chwilę o „zjeździe do bazy" zdecydował trener. Takie mecze są jak finał – a finałów się nie gra, tylko się wygrywa. Zdecydować może każdy element – dyspozycja dnia, koncentracja i odpowiednia reakcja szkoleniowca. Balonik oczekiwań jest napompowany do granic możliwości. Rolą trenerów jest, by przed pierwszym gwizdkiem spuścić z niego nieco powietrza.

Rozpędzeni

Mariusz Jop podkreśla, że to, co było dwa lata temu, dziś się nie liczy. Wisłę tworzą inni ludzie, choć kilku piłkarzy z sezonu 2022/23 wciąż zakłada koszulkę z białą gwiazdą. – Teraz to jest inny zespół i wierzę w to, że będziemy gotowi na walkę – w trudnym meczu oczywiście – i przygotowani również mentalnie – mówi trener. Za krakowianami trzy zwycięstwa z rzędu bez straty gola i osiem w ostatnich dziesięciu. – Nasze zadanie to głównie dobra regeneracja i przygotowanie się do czwartkowego meczu. Wiemy, jaka jest jego waga, zawodnicy mają tego świadomość, ale w zespole jest dobra energia, dobre nastawienie, pozytywne. Tak, będziemy gotowi w czwartek na to, żeby wygrać z Miedzią – zapowiada trzykrotny mistrz Polski z Wisłą. O ile w Wiśle mało kto liczył, że uda się awansować bezpośrednio, to Miedź mocno liczyła na powtórzenie scenariuszy z 2018 i 2022 roku. Trzy lata temu za sterami Miedzianki także był Wojciech Łobodziński – również trzykrotny tryumfator ligi z krakowskim klubem. „Łobo" wrócił do Legnicy w marcu, by przejąć drużynę od Ireneusza Mamrota i zaczął od... pokonania Wisły.

Daleko za Białą Gwiazdą

Drużyna z Dolnego Śląska traciła wtedy sześć punktów do drugiego miejsca i aż o osiem wyprzedzała krakowian. Potem jednak znacznie lepsze wyniki osiągali krakowianie i zakończyli sezon z sześcioma „oczkami" więcej. W dziesięciu ostatnich spotkaniach Wisła tylko dwa razy straciła punkty i prowadzi w tabeli za ten okres, a legniczanie są na 12. miejscu. Przegrali połowę spotkań, mają mocno niekorzystny bilans goli (10:18). Andan Kovaczević, obrońca Miedzi, pamięta, że jego drużyna rozegrała w Krakowie dobry meczprzed przerwą zimową i zremisowała 1:1. – Z tego powodu jestem bardzo optymistycznie nastawiony. Na pewno będzie ciężko, Wisła na swoim stadionie jest faworytem, ale dla nas gra przed tyloma ludźmi będzie mobilizować do walki o finał – podkreśla.

Michał Knura

NA EKRANIE

Czwartek, 29 maja
■ 17.55 Wisła Płock - Polonia Warszawa TVP Sport
■ 20.55 Wisła Kraków - Miedź Legnica TVP Sport
Oba mecze także w tvp-sport.pl

PÓŁFINAŁY

CZWARTEK, 29 MAJA, GODZ. 18.00

WISŁA PŁOCK – POLONIA WARSZAWA

Sędzia – Piotr Lasyk (Bytom). Nasz typ – 1.

PIĘĆ OSTATNICH MECZÓW

Miedź 2:1, Górnik 2:2, Arka 1:0, Wisła K. 3:1, Znicz 2:3

Ruch 1:1, ŁKS 0:1, Stal Rz. 2:1, Stal S.W. 2:3, Tychy 1:1

CZWARTEK, 29 MAJA, GODZ. 21.00

WISŁA KRAKÓW – MIEDŹ LEGNICA

Sędzia – Bartosz Frankowski (Toruń). Nasz typ – 1.

PIĘĆ OSTATNICH MECZÓW

Stal Rz. 3:0, Stal S.W. 5:0, Tychy 2:0, Wisła P. 1:3, Bruk-Bet 2:2

Wisła P. 1:2, Bruk-Bet 1:4, Pogoń 0:3, Odra 2:1, Chrobry 1:1

FINAŁ

NIEDZIELA, 1 CZERWCA, GODZ. 16.30

Przemek, wracaj do domu!

Kibice w Chorzowie bardzo ciepło przywitali Przemysława Szura, ale ten mówi jasno: – Teraz walczę o awans z Polonią.

POLONIA WARSZAWA

Kiedy latem Przemysław Szur odchodził z Ruchu do Polonii Warszawa, trudno było przewidzieć, że będzie spotykał się z aż tak wielką sympatią kibiców Niebieskich. Kiedy chorzowianie grali w stolicy, obrońca pochodzący z Wejherowa został zawołany pod sektor gości, gdzie skandowano jego nazwisko. Polały się łzy. W zeszły weekend, w ostatniej kolejce sezonu, 29-latek wrócił do Chorzowa ze swoją nową drużyną.

Lubi Śląsk

– Najlepsze wspomnienia z Ruchem mam z Cichej i Gliwic, więc powrót na tamte stadiony byłby na pewno inny. W Gliwicach świętowaliśmy awans do ekstraklasy, a przy Cichej były moje pierwsze mecze. Z Stadionu Śląskiego też mam fajne wspomnienia i miło było wrócić do Chorzowa. Kiedy graliśmy ostatnio w Tychach, to też chwyciło mnie za serduszko, bo lubię Śląsk i lubię tu wracać - mówił nam po ostatnim meczu Szur, którego swego czasu Tomasz Foszmańczyk, jeszcze jako kapitan, określił jako „śląskiego gorola", z racji szybkiej aklimatyzacji, jaką przeszedł w górniczym regionie. Defensor mógł żałować, że z powodu zamknięcia części trybun Kotła Czarownic spotkanie oglądało tylko mniej niż 6 tysięcy kibiców, bo już przed pierwszym gwizdkiem, podczas prezentowania składów, spiker zachęcił fanów do głośnego aplauzu dla jakże lubianego „Szurka". Kiedy pod koniec piłkarz opuścił boisko z urazem, ponownie pojawiły się oklaski oraz przyśpiewki: „Wracaj do domu, hej Przemek, wracaj do domu".

Wolał Łukasza Górę

Letnie odejście Szura nie spotkało się z aprobatą chorzowskiej społeczności. Do klubu przyszedł w 2022 roku po awansie do I ligi, gdy kilka tygodni wcześniej razem z Radunią Stężyca... przegrał w barażach właśnie z Niebieskimi. Na zapleczu był podstawowym wyborem, choć stracił miejsce w składzie pod koniec sezonu. W ekstraklasie grał głównie jesienią, lecz było widać, że jak na tamten moment – i tamten zespół – to ciut za wysokie progi. Gdy do klubu przyszedł trener Janusz Niedźwiedź, Szur trafił na ławkę. Latem to właśnie były już szkoleniowiec Ruchu postanowił o jego odejściu. Stoper nie miał gwarancji występów, bo Niedźwiedź chciał stawiać na Łukasza Górę, który okazał się jedną z największych wpadek transferowych klubu w ostatnim czasie. Trafił więc do Polonii Warszawa, ale kibice Niebieskich o nim nie zapomnieli. – Cieszę się, że jest takie przywiązanie kibiców i moje do Ruchu, ale teraz jestem zawodnikiem Polonii. Gram dla Polonii, walczę o ekstraklasę dla Polonii i na tym się skupiam – przyznał Szur. – Nie mam nikomu za złe, tak najwyraźniej musiało się stać. Chętnie kiedyś wrócę do Chorzowa, ale teraz skupiam się na walce o awans.



Fot. Press Focus

Przemysław Szur nie wyklucza, że jeszcze kiedyś zagra dla Ruchu Chorzów. Obecnie ma jednak inne cele.

Czas na Wisłę Płock

Odejście opłacało mu się, bo chorzowianie skończyli w środku stawki, a Czarne Koszule w barażach, mimo że wystartowały... od pięciu porażek. – Przed sezonem ciężko to było określić. Ruch był spadkowiczem. Trener Niedźwiedź miał pomysł i byłem przekonany, że on wypali, bo nie zapowiadało się, aby było inaczej. Spodziewałem się, że Ruch będzie mocnym kandydatem w walce o awans. W Polonii natomiast nie wiedziałem, jak to będzie wyglądać. Po wygranej z Wartą Poznań (2:0 w 7. kolejce, 23 sierpnia) powiedziałem jednak, że ten zespół stać na baraże i jesteśmy w nich – ocenił

Polonia w pierwszym meczu zagra z Wisłą w Płocku. – Trudno będzie ją zaskoczyć, bo bardzo dobrze się znamy. W końcu to będzie nasz trzeci mecz w tym sezonie. Myślę, że w takim barażu często decyduje forma dnia, kto jak wejdzie w spotkanie, kto będzie odczuwał większą presję. Pytano nas, czy wolimy trafić na Wisłę Płock, czy Wisłę Kraków – ja mówiłem, że trzeba pokonać 2 z 3 drużyn, żeby awansować i było mi obojętne, na kogo trafimy. Nie miałem swojego faworyta. Jedziemy do Płocka i jeśli chcemy być w ekstraklasie, musimy tam wygrać. Potem pojedziemy do Krakowa albo do Legnicy i tam znowu trzeba wygrać – przyznał Szur, który wie, gdzie jego drużyna ma swoje atuty.

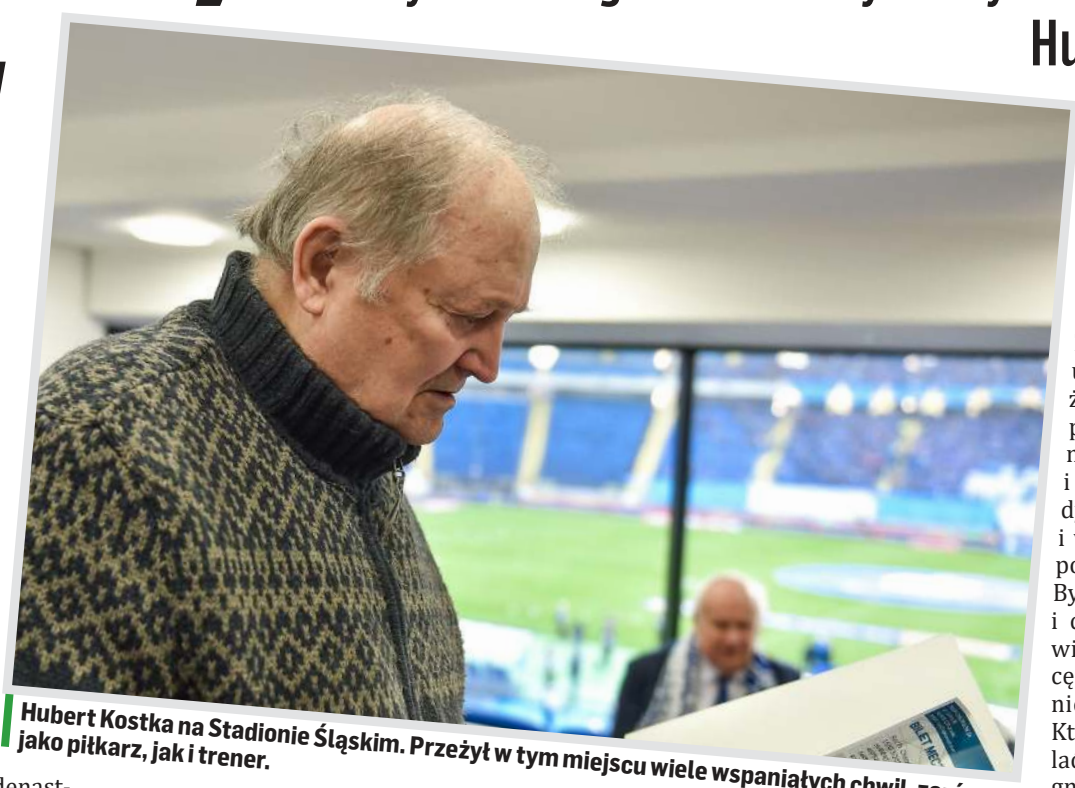
– Na przestrzeni całego sezonu byliśmy bardzo dobrze zdyscyplinowani w defensywie. Efektywnie pracowaliśmy jako zespół w obronie, byliśmy mocni w fazie przejściowej do kontrataku. Myślę, że w tym byliśmy najlepsi. Wszystko się może wydarzyć – zakończył 29-latek.

Piotr Tubacki

Sport 340c392578

Zjawisko, jedyny taki!

Mistrzostwo Polski osiągnięte przez jednego człowieka jedenaście razy?! Trudno sobie wyobrazić, by ktoś mógł dziś choćby zbliżyć się do wyczynu Huberta Kostki.



Hubert Kostka na Stadionie Śląskim. Przeżył w tym miejscu wiele wspaniałych chwil, zarówno jako piłkarz, jak i trener.

Hubert Kostka to jedna z pomnikowych postaci naszego futbolu. Hubert Kostk właśnie skończył 85 lat. Był mistrzem Polski 11 razy: osiem razy jako piłkarz i trzy jako szkoleniowiec. Z tej okazji prezentujemy 11 mgnień wiosny - właśnie z lat, w których mógł cieszyć się z tytułów.

1961

Pierwsze mistrzostwo w Górniku. Mało kto pamięta, że zanim pojawił się w Zabrzu, był – jako piłkarz Unii z macierzystego Raciborza - dożywotnio... zdyskwalifikowany w wieku 17 lat. Przechodził dwie rozprawy sądowe jeszcze jako… napastnik. Ta historia pokazuje jak trzeba uważać, gdy się kogoś oskarża. Arbiter napisał, że po meczu pobił go Kostka, a potem wyszło, że się pomylił. Tych nieprzespanych nocy nikt jednak chłopcu nie odda… Górnik rozgrywał sparingowe mecze z Unią i młodziutki bramkarz wpadł w oko. – Do Górnika nawet boso bym poszedł. Od razu się zgodziłem – wspominał. Za transfer nie dostał ani grosza, za to od razu stał się ważnym ogniwem Górnika, zaraz zrobił pierwszego mistrza. Zawsze podkreślał, że miał szczęście, trafiając na trenera Augustyna Dziwisza. Studiował na Politechnice Śląskiej w Gliwicach w trybie dziennym, a szkoleniowiec się zgadzał, żeby… nie trenował z drużyną, dojeżdżał do klubu i dbał o formę w okienkach między wykładami i ćwiczeniami. Pracowali z trenerem Dziwiszem we dwójkę. Zaufanie szkoleniowca zaowocowało. Dziś trudno w to uwierzyć, ale właśnie w 1961 roku dostał pierwsze rękawice. To był rarytas. – Dostałem je po towarzyskim meczu z Dynamem Kijów w Zabrzu od bramkarza rywali. Były skórzane, ale miały naklejane wykładziny z rakietek do tenisa stołowego – wspomina Kostka.

1963

Drugi tytuł w Górniku. Kostka jest coraz lepszy. Wiele dają mu wspólne treningi ze słynnym Gyulą Grosicsem, wicemistrzem świata z 1954 roku, członkiem słynnej węgierskiej „Złotej Jedenastki". Po zakończeniu kariery Grosics znajduje zatrudnienie w firmie specjalizującej się pozyskiwaniem węgla z odpadów węglowych, powstałej na mocy umowy rządów Polski i Węgier. Dlatego pod koniec 1962 roku przyjeżdża na Śląsk, a kiedy działacze Górnika dowiadują się o tym, proponują mu współpracę. Grosics zgadza się i organizuje treningi kilka razy w tygodniu dla śląskich bramkarzy. – Uczył nas wszystkiego. Chwytu, poruszania się, sposobu reagowania. Te treningi mnóstwo mi dały – przyznaje Kostka. Widać to było w lidze.

1964

Trzeci tytuł w Górniku. Uzyskuje dyplom magistra inżyniera górnictwa na Politechnice Śląskiej. Mówi: - Forma się ustabilizowała. Mogłem poświęcić się tylko treningom i grze. Zygfryd Szołtysik: - Hubert bardzo myślał podczas gry. Był też nienagannie wyszkolony technicznie.

1965

Czwarty tytuł w Górniku. Rozpoczyna się słynna rywalizacja o miejsce w bramce między Kostką a Janem Gomolą. W trakcie tamtego sezonu zmieniają się między słupami dziesięciokrotnie. Zdarzało się, że kiedy jeden miał miejsce w pierwszym składzie reprezentacji Polski, w Górniku siedział na ławce. Obaj są znakomici. Kostka broni w lidze 222 razy, Gomola – 116. – Uważam, że taka rywalizacja zawsze jest dobra dla zespołu, bo rozwija. Między nami nie było złej krwi, dobrze Jasiowi życzyłem – komentuje tamten stan rzeczy Kostka, na którego prośbę obowiązuje w klubie niecodzienny układ: obaj bramkarze mają dokładnie takie samo wynagrodzenie i premie za zwycięstwa, bez względu na to, kto akurat gra. Wielka rywalizacja trwa osiem lat. Obaj odchodzą po sezonie 1973/74.

1966

Piąty tytuł w Górniku. Najtrudniejszy okres. Gra jedynie w sześciu meczach ligowych sezonu 1965/66. W trzeciej kolejce Górnik sensacyjnie przegrywa we Wrocławiu ze Śląskiem, Kostka doznaje kontuzji, do bramki wskakuje więc Gomola, a węgierski trener Ferenc Farsang, stawia na niego. Jego następca, Władysław Giergiel – również. – Hubert był dla niego za mądry. Giergiel mu powiedział: „Ty masz ręce do pianina, nie do bronienia" – opowiadał ówczesny zabrzański obrońca Rainer Kuchta. Kostka przetrwał ten trudny okres. W kolejnym sezonie bronił już więcej niż Gomola (20 meczów, wobec 10 konkurenta).

1967

Szósty tytuł w Górniku. Tamten rok będzie się już zawsze kojarzył ze wspaniałym występem Huberta Kostki w Kijowie, w drugiej rundzie Pucharu Europy Mistrzów Krajowych Górnik trafia na Dynamo, najsilniejszą wówczas drużynę ZSRR. Ukraińcy są pewni zwycięstwa, bardzo gościnni, w przeddzień meczu organizują dla zabrzan wizytę w... cyrku. Do przerwy prowadzą 1:0, ale potem Górnik gra fantastycznie i wygrywa 2:1. W dodatku Kostka pięć minut przed końcem broni karnego słynnego Jozefa Szabo, niezawodnego dotąd w takich sytuacjach. – Nie miałem żadnych informacji na temat sposobu w jaki je wykonywał. Sam nigdy nie zakładałem wcześniej,w który róg się rzucę. Zawsze czekałem do końca.

1971

Siódmy tytuł. Drużyna Górnika w ciągu dekady się zmienia, ale ciągle może liczyć na Kostkę. Na kolejne mistrzostwo trzeba było poczekać cztery lata, ale przecież wtedy polska piłka klubowa jest bodaj najsilniejsza w historii, tytuły w tym czasie zdobywają najpierw Ruch (dziesiąty) i Legia (trzeci i czwarty). Sam Kostka budzi wcześniej zachwyt w Manchesterze. Na Old Trafford Górnik przegrywa z United , ale Kostka jest fenomenalny. – W trakcie meczu angielscy kibice zza bramki rzucali we mnie monetami. Po meczu zacząłem je wybierać z trawy, nazbierało się jakieś pięćdziesiąt. Zbierając uniosłem głowę i okazało się, że przeciwnicy czekają aż zejdę z boiska! Gospodarze poszli przed nami i utworzyli szpaler przed wejściem do szatni, żeby nagrodzić nas brawami. Brawo bili nam Bobby Charlton, George Best i Nobby Stiles. To było niezwykłe – wspominał znakomity bramkarz. Rainer Kuchta: - Hubert zagrał wtedy życiowy mecz. Był boski!

1972

Ósmy tytuł. Wielki sezon. Nie tylko w Górniku. Z reprezentacją Polski jako pierwszy bramkarz zdobywa mistrzostwo olimpijskie w Monachium. Zacięta rywalizacja z Janem Gomolą trwa (20 meczów Kostki, 10 – Gomoli). W ostatnim meczu ligowym Górnik bije Wisłę Kraków na wyjeździe aż 5:1. Kronika klubowa podkreślała jednak, że „pod koniec meczu kilka razy mógł wykazać się natomiast Hubert Kostka, interweniował jak za swoich najlepszych czasów".

1980

Dziewiąty tytuł. Niezwykły, bo jedyny w tym zestawieniu - osiągnięty z innym klubem niż Górnik. Pierwszy jako trener. Mistrzostwo z Szombierkami Bytom jest wręcz legendarne, zasługuje na osobną książkę, którą zresztą napisałem. Młody, czterdziestoletni szkoleniowiec tworzy drużynę, która niesłusznie uważana jest za najsłabszego mistrza Polski - dyletanci mylą pojęcia „najsłabszy" z „najbardziej sensacyjny". To czas przełomu, wszystko w PRL-u opiera się na... donoszeniu. Kostka donoszenia nie znosi. Mierzi go, bo lubi grać w otwarte karty. Zapowiada współpracownikom i piłkarzom, że nie przyjmuje braku lojalności. Działaczom mówi: - Jeśli chcecie czego dowiedzieć się o drużynie, pytajcie mnie. Ja wam wszystko powiem, nie mam nic do ukrycia, ale nie chcę, żeby ktoś wam donosił i przedstawiał sprawy po swojemu – zapowiada. Dbał, żeby piłkarze skupiali się na piłce. Sprawiał, że klub w tamtych trudnych czasach miał dla nich lodówki, pralki, meble. Szombierki idą jak burza, ale nie dzięki pralkom. Dzięki Kostce.

1985

Nowa, zupełnie inna epoka w Górniku. Hubert Kostka jest już uznanym szkoleniowcem, sposób jego pracy przechodzi do legendy. Niektórzy do dziś nazywają go „zamordystą". Nie lubi tego określenia. – To bzdura i kłamstwo. Żadnego zamordyzmu u mnie nie było. Fakt, że zawsze miałem swój punkt widzenia na to jak należy trenować zespół i traktować piłkarzy. Każdy trening omawiałem i wyjaśniałem piłkarzom, po co różne rzeczy robią. Był czas na dyskusję, ale i czas na robotę. Zawsze wierzyłem w ciężką pracę, ale nigdy nikogo do niczego nie zmuszałem. Ktoś nie chciał się wysilać, wcale nie musiał. Żegnaliśmy się. Proszę mi wskazać choć jednego piłkarza, który nie chciał się poddać moim metodom, a potem zrobił karierę – pytał Hubert Kostka. Nie wskazałem.

Kiedy trener dostaje pod koniec 1983 roku propozycję od Górnika, zgadza się pod jednym warunkiem. – Ja nie wtrącam się do spraw organizacyjnych, działacze nie wtrącają się do spraw sportowych – brzmi ten postulat. Górnik na tym dobrze wychodzi. Na finiszu zabrzanie wyprzedzają bardzo silne wówczas Legię i Widzew. To początek nowej złotej ery klubu.

1986

Jedenasty tytuł. Legia i Widzew znów wyprzedzone na finiszu. Ówczesny pomocnik Ryszard Komornicki: - Hubert Kostka był bardzo inteligentnym trenerem. Doskonale wiedział, co chce osiągnąć i kto do kogo pasuje, że ten piłkarz z tym zagra świetnie, ale z tamtym – już niekoniecznie. Nie każdy potrafi to wychwycić. Waldemar Matysik: - Odpowiadał mi jego styl pracy. Zawsze lubiłem ciężko pracować, a u Kostki praca rzeczywiście była bardzo ciężka. Można porównać go trochę do niemieckiego trenera Feliksa Magatha, który też cenił sumienną robotę. Najważniejsze, że pod twardą ręką wszystko dobrze funkcjonowało.

***

Hubert Kostka to jedna z symbolicznych postaci najlepszych czasów naszej piłki. Dziś mieszka w rodzinnych Markowicach, dzielnicy Raciborza.

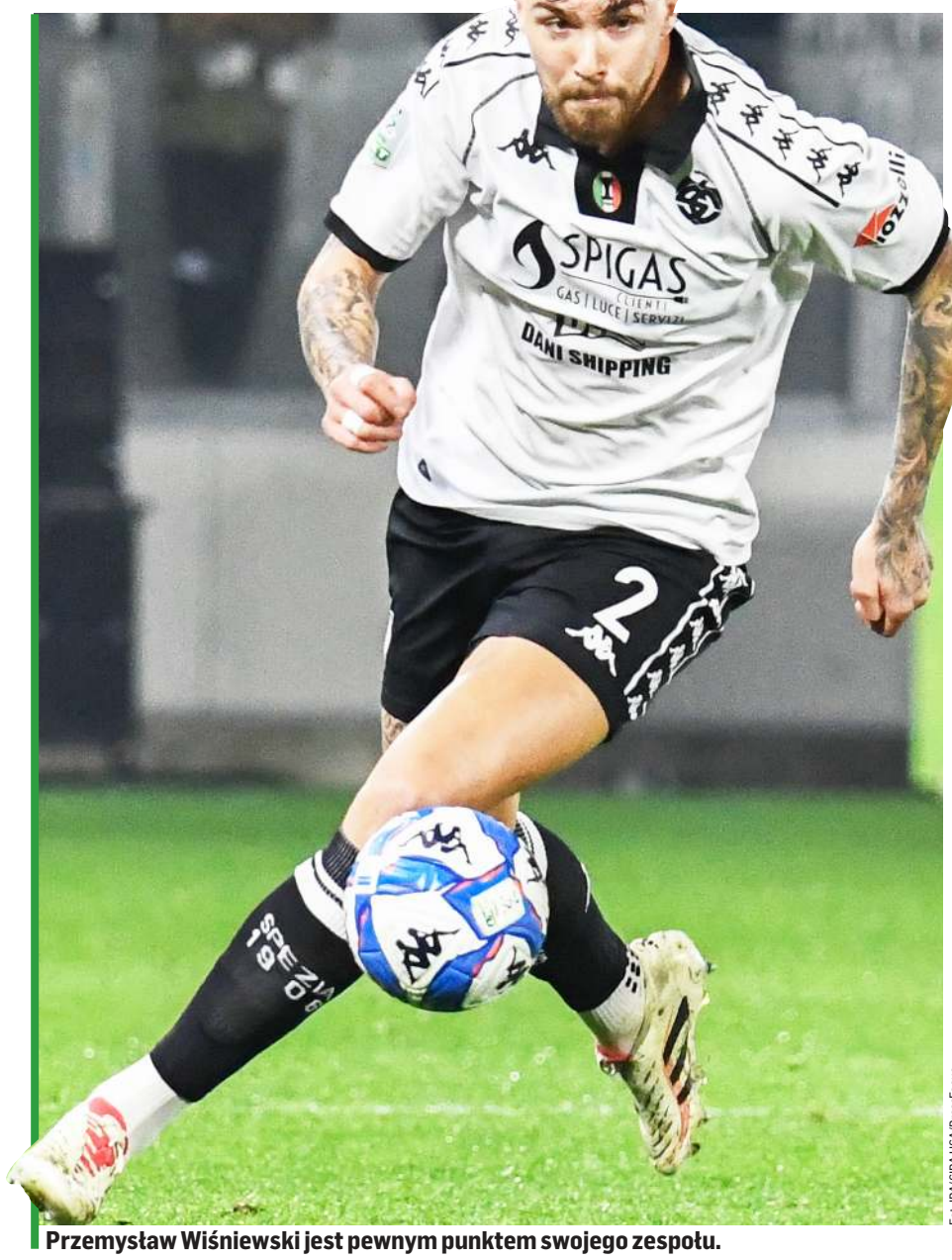
Ad multos annos, Panie Trenerze!

Paweł Czado

Sport 340c392578

Cel: Serie A

Przemysław Wiśniewski i Arkadiusz Reca zmierzą się w barażowym dwumeczu z Cremonese.



Przemysław Wiśniewski jest pewnym punktem swojego zespołu.

Fot. IPA/SIPA USA/PressFocus

WŁOCHY

Spezia zakończyła rozgrywki na 3. miejscu w Serie B, które dało możliwość udziału w barażach od etapu półfinału. W dwumeczu z Catanzaro była lepsza zarówno na własnym stadionie, jak i na wyjeździe, dzięki czemu pewnie awansowała do finału. W tym drugim spotkaniu padł wynik 2:1 (w pierwszym 2:0), a decydującego gola strzelił właśnie Przemysław Wiśniewski. Dla 26-letniego stopera był to trzeci gol w tym sezonie. Od 68 minuty grał również Arkadiusz Reca, który był zmiennikiem Alesa Mateju. Obaj Polacy są ważnymi członkami zespołu. Częściej gra Wiśniewski, który jest podstawowym zawodnikiem formacji obronnej i rozegrał już w tym sezonie 35 spotkań, licząc wszystkie rozgrywki. Reca zanotował 26 meczów, ale w części z nich wchodził z ławki rezerwowych, tak jak w półfinałowym meczu z Catanzaro.

W kontekście tego 29-letniego zawodnika cały czas pojawiają się medialne doniesienia o możliwym transferze, ponieważ jego kontrakt jest ważny tylko do końca czerwca tego roku. Już w styczniu mówiło się o zainteresowaniu ze strony Lecha Poznań. Teraz Kolejorz został mistrzem Polski i wydaje się, że lewa obrona jest pozycją, na którą klub z Wielkopolski będzie szukał wzmocnień. Warto przypomnieć, że boczny obrońca dobrze zna rodzimą ligę, ponieważ jako piłkarz Wisły Płock rozegrał w jej barwach 65 spotkań, w których zdobył 7 goli i zaliczył 6 asyst. Z drugiej strony nie wiadomo jak potoczą się losy 15-krotnego reprezentant Polski, jeśli Spezia awansuje do Serie A. Być może trener Luca D'Angelo będzie chciał zostawić Recę jako uzupełnienie drużyny.

Teraz rywalem zespołu Polaków będzie Cremonese, które wyeliminowało Juve Stabia z Patrykiem Pedą w składzie (1:2, 3:0), a w sezonie zasadniczym zajęło czwarte miejsce. Spezia liczy na to, że powróci do krajowej elity po dwóch latach nieobecności. Tyle samo na powrót czeka Cremonese. Zespół z Lombardii pamięta ostatnie okoliczności - awans do Serie A po 26 latach i spadek jako beniaminek. Teraz będzie musiał uważać przede wszystkim na Francesco Esposito. 19-letni napastnik Spezii zdobył w tym sezonie 17 bramek w Serie B, tylko jedną mniej niż ma Armand Lauriente z Sassuolo. Już przed dwumeczem z Catanzaro trener D'Angelo liczył, że włoski napastnik podtrzyma swoją formę. – Esposito radzi sobie bardzo dobrze, ma fantastyczny sezon i chce podtrzymać dobrą passę, licząc na to, że również w nadchodzących meczach zrobi różnicę - stwierdził 53-letni szkoleniowiec. Esposito nie zawiódł swojego trenera, ponieważ w pierwszym meczu zdobył gola, a w drugim zaliczył asystę przy trafieniu… Przemysława Wiśniewskiego. Patrząc jednak na starcie obu drużyn w obecnym zespole, to korzystniejszy bilans ma Cremonese, które na początku zremisowało u siebie 1:1, a w rundzie rewanżowej kilka tygodni temu wygrało na Stadio Alberto Picco 3:2.

Włoski trener zdaje sobie sprawę z tego, ile awans do elity znaczy dla kibiców i jakie nadzieje pokładają oni w obecnym zespole – Już zapisaliśmy kilka pamiętnych kart w historii tego klubu, grając mecze, które na długo zostaną w pamięci naszych kibiców. Ale by naprawdę przejść do historii, wiemy, że musimy osiągnąć ten najważniejszy wynik. – dodał D'Angelo.

Miłosz Cebo

FINAŁ BARAŻY O SERIE A

29.05, 20.30: Cremonese – Spezia
01.06, 20.30: Spezia – Cremonese

Ostateczne starcie

Stade de Reims podejmie Metz w rewanżu o miejsce w Ligue 1.

FRANCJA

W pierwszym spotkaniu padł remis 1:1 po bardzo wyrównanym spotkaniu, trudno więc wskazać faworyta w rewanżu. Ewentualny spadek Reims byłby sporą niespodzianką, ponieważ zespół Samba Diawary miał mniej porażek w sezonie niż niektóre zespoły plasujące się nad nim, ale obciążeniem była spora liczba remisów (9), które z perspektywy niektórych spotkań bardziej były stratą dwóch punktów niż zyskiem jednego.

Stade de Reims przystąpi do tego spotkania po finałowej rywalizacji z PSG w Pucharze Francji. Paryżanie spokojnie i pewnie wygrali 3:0 (wynik został ustalony jeszcze w pierwszej połowie), ale Czerwono-biali od początku byli na przegranej pozycji. Wszyscy w klubie przyznawali przed tym meczem, że będzie to dla nich święto, ale priorytetem zostaje rewanż z Metz. Trener Samba Diawara przyznał, że chciałby, żeby jego zawodnicy wykorzystali to spotkanie do decydującej batalii o Ligue 1. – Jestem dumny z moich zawodników. W drugiej połowie mogli się załamać, a jednak nie odpuścili. Musimy to wykorzystać jako punkt wyjścia do rewanżu z Metz. To nie będzie ten sam przeciwnik, ale nie oznacza, że będzie łatwiej – przyznał szkoleniowiec Reims.

Trenerowi wtórował Mory Gbane, pomocnik zespołu. – Teraz czeka nas bardzo ważne spotkanie, bo najważniejsze jest utrzymanie się w Ligue 1. Nasi kibice tego potrzebują, a my bardzo tego chcemy. Mecz z PSG był trudny, ale musimy skupić się już na kolejnym. Trener powiedział nam, że od nas zależy, czy będziemy silni mentalnie i gotowi na czwartek, bo właśnie wtedy najwięcej się będzie od nas oczekiwać – stwierdził 24-letni piłkarz z Wybrzeża Kości Słoniowej.

Metz z kolei przystąpi do tego spotkania bardzo zmotywowane i w niemal pełnym składzie. Ważny powrót po kontuzji zanotował Joel Asoro, który był nieobecny przez dwa miesiące. 26-letni skrzydłowy w obecnym sezonie wystąpił w 20 ligowych spotkaniach, w których zanotował 3 gole i dwie asysty. Teraz Szwed może być brany pod uwagę na to spotkanie. – Wszyscy zawodnicy z pola są do dyspozycji. To świetna wiadomość przed tym ostatnim meczem, że mamy pełny skład – cieszył się trener Stephane Le Mignan, który będzie musiał sobie poradzić jedynie bez podstawowego bramkarza, Arnauda Bodarta. Od trzech spotkań zastępuje go Pape Sy.

Przed pierwszym spotkaniem francuskie media informowały o konflikcie grupy ultrasów z klubem Reims. Spowodowane to było słabymi wynikami zespołu. Sprawa była o tyle ważna dla wspomnianej grupy, że zapowiedziała ona bojkot spotkania z Metz i zespół nie mógł liczyć na doping w tym wyjazdowym meczu. W finale Pucharu Francji z PSG pojawiło się wsparcie drużyny, a teraz poinformowano, że cały stadion został wyprzedany. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie działania… klubu. Władze Stade de Reims zmobilizowały kibiców najpierw poprzez zapewnienie bezpłatnych biletów posiadaczom karnetów, a także korzystnymi cenami biletów. Dzięki temu na Stade Auguste Delaune pojawi się około 20 tysięcy widzów.

Miłosz Cebo

FINAŁ BARAŻY O LIGUE 1

29.05, 20.30: Reims – Metz



W pierwszym meczu Cedric Kipre strzelił swoją pierwszą ligową bramkę w tym sezonie, jakże cenną.

Fot. Icon Sport/SIPA USA/PressFocus

Sport 340c392578

Trener Tomczyk to nasz Prometeusz

Rozmowa z **Sebastianem Stebleckim**, pomocnikiem Polonii Bytom

Może z 10 centymetrów zabrakło, żeby po pana „główce" z Chojniczanką padł gol, a tak piłka trafiła w poprzeczkę i z trafienia na 2:2 cieszył się Dominik Konieczny...

- No nie mam tego szczęścia. Mimo mniejszej liczby minut w drużynie tych sytuacji jednak trochę miałem, ale za jednym razem piłka tańczyła na linii, za drugim zabrakło centymetrów, za trzecim trochę precyzji... Nie będę sobie nawijał makaronu, wymyślał fatum, czy szukał dodatkowego dna. No ale był udział przy golu, to też cieszy, aczkolwiek zawsze cieszy bardziej, kiedy jest zwycięstwo. Teraz był remis, który z perspektywy meczu trzeba uszanować, chociaż jesteśmy ambitną drużyną, chcemy wygrywać każdy mecz, ale finalnie cieszymy się z kibicami z awansu.



Fot. Sebastian Sienkiewicz/PressFocus

Intensywność w treningu, intensywność w meczach, intensywność pracy - tym wyróżnia się Polonia według Sebastiana Stebleckiego.

No właśnie, może motywacja trochę siada?

- U nas motywacji nie brakuje, ale z tyłu głowy ten 1 procent świeci, że cel jest osiągnięty. Ale oczywiście mamy ambicję zdobyć mistrzostwo tej ligi i pokazać, że jesteśmy najlepszą drużyną. Mamy przed sobą jeszcze dwa mecze, w których będziemy walczyć o zwycięstwo - na wyjeździe z Elblągiem i w derbach z Zagłębiem Sosnowiec 7 czerwca. To będzie dla kibiców bardzo ważny mecz i dzień oficjalnej fety, więc fajne wydarzenie dla klubu, dla nas.

Wyszedł pan na boisko po miesiącu i kilku meczach absencji, już po awansie. Żal?

- Jedna nieobecność była podyktowana kartkami, a wcześniej to były decyzje trenera, bo byłem cały czas „pod prądem". Ale taka była potrzeba, wynik zespołu się obronił, więc nie mogę mieć żalu i pretensji. Jestem szczęśliwy, bo dla mnie najważniejszy był po prostu sukces drużyny, a ten udało się osiągnąć. Jestem jego częścią i jestem z tego dumny. I gratuluję trenerowi, całemu sztabowi oraz chłopakom, bo wykonali naprawdę świetną pracę. Byłem w wielu zespołach na przestrzeni swojej przygody z piłką i uważam, że w Bytomiu tworzy się coś wyjątkowego. Trzeba to pielęgnować, ciągnąć do góry i mam nadzieję, że w następnym sezonie klub i drużyna dalej będą się rozwijać.

Liga jeszcze trwa, ale w waszym wypadku można już podsumowywać. Jaki to był sezon z perspektywy boiska?

- Bardzo wymagający, trudny. Było dużo różnych momentów, wyskoku do góry, trochę dołków. Pod koniec pierwszej rundy mieliśmy kryzys, bardziej wynikowy, bo nasza gra nie była wcale gorsza od meczów, które wygrywaliśmy, no ale nie chciało wpadać do siatki. Trochę nie mieliśmy szczęścia po tym nieszczęsnym meczu z Wieczystą, gdzie dostaliśmy dwie czerwone kartki; potem był gol strzelony przez Chojniczankę ręką, przegraliśmy 0:1, podobnie z Grodziskiem, mimo wielu naszych okazji. Dużo było wtedy napięcia, niepokoju, bo była końcówka rundy, a drużyny, które w tamtym czasie były przed nami w tabeli, punktowały regularnie, mieliśmy coraz większą stratę. Ale podchodząc do drugiej rundy, cały czas był zachowany spokój, wierzyliśmy po prostu w proces, w swoją pracę. I to się obroniło.

Awansowaliście, bo...?

- Bo to była ciężka praca, była wiara, był dobry pomysł. Poparte wszystko wielkim zaangażowaniem w klubie. Przez cały sezon czuło się, że wszyscy wierzą i widzą, że wszystko idzie w dobrym kierunku. I nikt się z tego nie wyłamał, od przekochanych pań sprzątających, pań w pralni i osób na recepcji, przez marketing, po dyrektora sportowego i prezesa, nie mówiąc już o sztabie szkoleniowym. No i wszystkich zawodników, od pierwszego do 27. w kadrze, więc naprawdę to sukces całego klubu.

Który to pana awans?

- Drugi. Pierwszy zaliczyłem z Cracovią do ekstraklasy (2012/13 - przyp. red.). Świetne wspomnienia. To było praktycznie na początku mojej przygody z piłką, a teraz drugi, już u schyłku. Jestem mega szczęśliwy, aczkolwiek jeszcze ostatniego słowa nie powiedziałem.

Trener przyszedł do szatni, dał ogień i się paliło. My tylko dokładaliśmy drewna, a jak przygasało, to on przyszedł znowu, polał benzyną i - kurde - jarało się dalej.

Mówi pan, że w Bytomiu tworzy się coś wyjątkowego. Czym Polonia wyróżnia się na tle innych klubów, w których pan grał?

- Mam wielki szacunek do wszystkich miejsc, w których pracowałem, tam też poznawałem wspaniałych ludzi, którzy mieli w sobie pasję, zaangażowanie i chęć rozwoju, chęć robienia wielkich rzeczy. Może to zabrzmi trochę kurtuazyjnie, bo zrobiliśmy awans i można sobie lukrować, ale naprawdę, patrząc z perspektywy czasu, w Polonii była dodatkowa iskra. Kurde, no, w powietrzu unosiło się coś ekstra, każdego dnia. W wielu klubach czas między meczem a meczem, te poniedziałki, wtorki, środy, tydzień w tydzień, często się zlewają, są trochę jak odbite od kalki. Jasne, są praca, zaangażowanie, chęć wyniku, ale to wszystko jest takie... monotonne... A tutaj wylewało się wielkie parcie całego sztabu, wszystkich ludzi pracujących w klubie, całego zespołu przede wszystkim. Niesamowite zaangażowanie każdego zawodnika, pasja, zaangażowanie, serce do tego, co robimy, były przeogromne. Przez 14 lat funkcjonowania w profesjonalnym sporcie spotkałem wielu piłkarzy czy kandydatów na piłkarzy, ludzi, którzy o swojej grze mówili w różny sposób, że to kariera, albo przygoda. A tutaj umiejętnościami naprawdę nie odstawali. Wszyscy nadają się na 1. ligę. Zasłużyli na to, a może i na coś więcej, bo uważam, że to nie jest sufit tej drużyny i tego klubu. Trzeba iść po więcej, trzeba w to wierzyć, mieć swoje marzenia.

Słyszę i widzę w panu tę pasję. Kto was tym zarażał najbardziej?

- Trener. Łukasz Tomczyk. Pierwszy trener zarażał cały sztab, wszystkich tutaj. Od niego to się wszystko zaczynało, przelewało się na sztab, sztab to wszystko „podpalał" dalej, szło jak domino, jak pożar w suchym lesie. Nawet żartowaliśmy w szatni, że to jest taki Prometeusz. Przyszedł do szatni, dał ogień i się paliło. My tylko dokładaliśmy drewna, a jak przygasało, to on przyszedł znowu, polał benzyną i - kurde - jarało się dalej.

A czym się wyróżnialiście na tle innych zespołów, poza tym, że jesteście na 1. miejscu, strzelacie dużo goli, chce się was oglądać?

- Intensywnością w treningu, intensywnością w meczach, intensywnością pracy. Nie odbieram niczego innym, bo wszystkie drużyny bardzo ciężko pracują i to było czuć i widać, żaden z meczów nie był łatwy, w tej lidze nie ma środka, każdy o coś gra. Przegrywaliśmy z czołówką, z Pogonią, Chojniczanką, Wieczystą, to taki mały kamyczek do ogródka. Oczywiście tu wszyscy mają tego świadomość, bo wszystko jest analizowane i kalkulowane. My też jako zawodnicy mamy w sobie sportową złość, bo też chcieliśmy w tych meczach punktować. Ale w ogólnym rozrachunku liczą się wszystkie mecze, więc tu utrzymaliśmy poziom. Systematyczność pracy, ten proces, taka skrupulatność w tym, co robimy każdego dnia. Ten ogień, ten zapał, który trener właśnie w nas wlewa, w cały sztab, w drużynę, w cały klub, spowodował, że nie było momentu rozluźnienia: „a dobra, to dzisiaj tam spokojnie"... Nie! Cały czas była praca i to przynosiło efekty, bo to, co trenowaliśmy, potem graliśmy. Nie było, że nagle coś się w meczu wywalało na plecy, a my, o kurde, zaskoczeni jesteśmy. Nie, nikt nigdy nie był zaskoczony. Każdy wiedział, co ma grać, czy będzie Grzesiu Szymusik w bramce na Resovii, czy czerwona kartka dla Lucka Zielińskiego w Jastrzębiu. Wiedzieliśmy, jak iść do pressingu, wiedzieliśmy, jak bronić, wiedzieliśmy, gdzie kto ma być. Wszystko było przygotowane i w tym całym procesie nie ma pół centymetra przypadku. To efekt tytanicznej pracy sztabu i informacji przekazywanych zawodnikom i tego, jak zawodnicy te bodźce przyjmowali, jak wytrzymywali tę swego rodzaju presję, nacisk. Ale w sporcie to są naturalne wymagania: rozwijaj się, bądź w tym wszystkim, chciej więcej, wygrywaj. I to było gołym okiem widać, mimo że to niby tylko 2. liga. Ale uważam, że ta drużyna jest gotowa na więcej.

Więcej już w 1. lidze?

- Nie chciałbym, żeby było mi to wypomniane za pół roku, „o, Steblecki się mylił!" Ale ja w to naprawdę głęboko wierzę, bo widzę to od środka, a na poziomie 1. ligi zagrałem 200 meczów. Jest wiele dobrych zespołów i wielu dobrych zawodników, ale tu, w Polonii, nie ma gorszych chłopaków. Tu są tak samo ambitni, jakościowi goście. I uważam, że tym procesem, tym pomysłem, tym wszystkim, co tutaj się wytworzyło w ostatnim czasie, ta drużyna jest w stanie w 1. lidze bić się o fajne rzeczy.

Kończy się panu kontrakt z Polonią. Co dalej?

- Rozmowy nastąpią pewnie na koniec sezonu, po meczu z Zagłębiem przyjdzie czas podsumowań. Zapewne decyzje w gabinetach są już podejmowane. Ale ja się skupiam na tym, co mogę tu i teraz zrobić jeszcze dla siebie i dla drużyny. Chcę być w tym cały czas, uczestniczyć na maksa, a co los przyniesie, jakie te rozmowy będą, jaka będzie przyszłość - jestem przygotowany na wszystko.

Ale chyba fajnie byłoby wiedzieć, co dalej. Jest koniec maja, pod koniec czerwca zaczynają się kolejne przygotowania...

- Tak, tylko że większość klubów uzależnia swoje decyzje od wyniku sportowego. W 1. i w 2. lidze łącznie 10 zespołów jest w barażach. I od ich rozstrzygnięć zależeć będzie przyszłość klubu, jego budżet, aspekty czysto sportowe. Inaczej się buduje kadrę na 2. ligę, a inaczej na 3., więc te decyzje bardzo często są przeciągane. Ja to rozumiem, dlatego zachowuję spokój. Jestem już 14. rok w profesjonalnej piłce, więc cieszę się tym, wykonuję swoją pracę i jestem dumny z tego, że reprezentuję Polonię.

Rozmawiał Tomasz Mucha

SYLWETKA

■ Sebastian STEBLECKI - 33 lata, wychowanek Armatury Kraków, w ekstraklasie rozegrał prawie 100 spotkań dla Cracovii i Górnika Zabrze, strzelił 9 goli, były piłkarz pierwszoligowych Chojniczanki, GKS-u Tychy, Chrobrego Głogów, w Polonii od wiosny 2024.

Sport 340c392578

Brunes zostaje!

To wiadomość, która ucieszy wszystkich kibiców częstochowskiego klubu.

RAKÓW CZĘSTOCHOWA

Wicemistrz Polski poinformował, że skorzystał z opcji wykupienia norweskiego piłkarza Jonatana Brauta Brunesa z belgijskiego klubu OH Leuven. Napastnik, wychowanek FK Bryne, związał się z klubem spod Jasnej Góry trzyletnim kontraktem, który ma obowiązywać do końca czerwca 2028 roku.

Brunes ma 24 lata, a do Rakowa trafił w lipcu ubiegłego roku na zasadzie wypożyczenia. W sezonie 2024/25 rozegrał w barwach Czerwono-niebieskich 32 spotkania i zdobył w nich 14 bramek.

Wiadomość o transferze definitywnym norweskiego snajpera skomentował Artur Płatek, doradca wicemistrza Polski ds. sportowych: - Cieszymy się, że mogliśmy aktywować klauzulę wykupu Jonatana Brunesa. Biorąc pod uwagę jego wkład w wyniki Rakowa, decyzja o przedłużeniu tej współpracy to bardzo ważna wiadomość dla całej społeczności klubowej. Jonatan przez ten sezon zdążył już się wkomponować w zespół i został kluczowym zawodnikiem, udowadniając swoją wartość na boisku.

(PAP)

Przeszedł z Jagiellonii

GÓRNIK ZABRZE

Jarosław Kubicki, po wygaśnięciu kontraktu z Jagiellonią Białystok, został piłkarzem Górnika Zabrze – poinformowały kluby. Zawodnik podpisał trzyletnią umowę..

29-letni pomocnik występował w białostockich barwach przez dwa sezony, w tym pierwszym świętował zdobycie mistrzostwa Polski. Wcześniej grał w Lechii Gdańsk i Zagłębiu Lubin.

„Górnik okazał się bardzo konkretny w rozmowach. Dużym atutem jest fajny stadion i aglomeracja. Klub jest utytułowany, o bogatej historii. Myślę, że może być to kolejny krok do przodu w mojej przygodzie z piłką" – powiedział klubowym mediom po podpisaniu umowy.

Anatomia rozwodu

Sąd odsłuchał nagrania rozmów Roberta Lewandowskiego z Cezarym Kucharskim.



A było kiedyś tak pięknie, tak przyjaźnie...

Fot. Norbert Barczyk/Pressfocus

W środę w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Śródmieścia odbyła się pierwsza publiczna rozprawa dotycząca sporu między kapitanem piłkarskiej reprezentacji Polski Robertem Lewandowskim a jego byłym menedżerem Cezarym Kucharskim, który broni się przed oskarżeniem o szantaż.

3,5 godziny

Podczas rozprawy przedstawiono publicznie nagrania, które mają być dowodem w sprawie. Ich odsłuchanie trwało prawie 3,5 godziny - przekazał portal przegladsportowy.onet.pl.

Prokuratura Regionalna w Warszawie akt oskarżenia przeciwko byłemu menedżerowi Lewandowskiego Kucharskiemu wysłała do sądu w maju 2022 roku. Według ustaleń śledczych od września 2019 roku do września 2020 roku kilkukrotnie groził on swojemu byłemu klientowi Lewandowskiemu, że rozpowszechni informacje dotyczące „rzekomych nieprawidłowości w rozliczeniach podatkowych należącej do pokrzywdzonego spółki prawa handlowego".

„Kierując groźbę podejrzany zapowiadał spowodowanie postępowania karnego i rozgłoszenie wiadomości uwłaczającej czci pokrzywdzonego oraz jego żony, sugerując jednocześnie, że zachowa w tajemnicy opisane powyżej okoliczności w przypadku zapłaty przez pokrzywdzonego piłkarza kwoty 20 milionów euro" - przekazała wtedy Prokuratura Regionalna w Warszawie.

Sąd ustali...

Zaprezentowane nagrania są dowodami w sprawie karnej, w której m.in. oskarżycielem posiłkowym jest Lewandowski. Sąd będzie musiał ustalić, czy piłkarz był przez Kucharskiego rzeczywiście szantażowany.

Według portalu przegladsportowy.onet.pl z treści nagrań wynika, że Kucharski kilka razy wspominał o 20 mln euro jako kwocie, za którą jest w stanie „ponieść ryzyko". Mówi też o 100 tys. zł za każdy dzień... ewentualnego zatrzymania przez „smutnych panów ze służb". Sugeruje Lewandowskiemu, że to cena za spokój jego oraz jego żony i zarzuca mu niepłacenie podatków zarówno w Polsce, jak i w Niemczech.

„Na pewno ty ze swoją żoną jesteście oszustami podatkowymi" – powiedział do Lewandowskiego z nagraniu ze stycznia 2020, a z jego ust padają też słowa „wałek" i „złodziejstwo".

„Przegląd działań podatkowych"

Piłkarz z kolei zarzuca Kucharskiemu, że „brał pieniądze, brudne pieniądze z zagranicy" i fałszował dokumenty, żeby otrzymać kredyt. Z kolejnych nagrań wynika, że Lewandowski dokonał przeglądu swoich działań podatkowych i według biegłych zarówno z Polski, jak i Niemiec nie dopuścił się nieprawidłowości. Padają też słowa, że działania byłego menedżera, który ze sprawą miał wcześniej zapoznać jednego z niemieckich dziennikarzy, to szantaż.

Lewandowskiego nie było na środowej rozprawie. W Polsce ma się pojawić 11 i 12 czerwca jako świadek w sprawie.

Z przedstawionej opinii biegłego dotyczącej tych nagrań wynika, że dwa z trzech uznano za autentyczne i integralne, nie wykryto w nich śladów cięć i montażu. Jak stwierdził przewodniczący składu „sąd ocenia materiał dowodowy dopiero po przeprowadzeniu całości postępowania w sprawie, przed wydaniem wyroku". Spór trwa od 2017 roku, gdy Lewandowski podjął decyzję o rozstaniu z Kucharskim, swoim wieloletnim menedżerem i posiadaczem praw do wizerunku piłkarza.

Nie przyznał się

W październiku 2020 roku w trakcie pierwszego z przesłuchań Kucharski nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu oraz odmówił odpowiedzi na jakiekolwiek pytania prokuratora, w tym dotyczące ustosunkowania się do zapisu powyższych rozmów. „W swych obszernych, składanych przez kilka godzin wyjaśnieniach, koncentrował się na zagadnieniach związanych z wieloletnią współpracą z pokrzywdzonym, a także na rozliczeniach o charakterze cywilnoprawnym" - zaznaczyła wtedy prokuratura.

Również w trakcie drugiego przesłuchania w kwietniu 2021 roku Kucharski nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu, odmówił składania wyjaśnień oraz nie odpowiedział na pytania prokuratora.

W styczniu 2024 roku do sądu wpłynęła opinia z badań fonoskopijnych rozmów „Lewego" z jego menedżerem. Wcześniej śledczy zabezpieczyli komputer Kucharskiego, w którym znaleziono m.in. wiadomości e-mail wysyłane z adresu byłego menedżera. Badania nagrań wykonane przez biegłego z Laboratorium Kryminalistycznego Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu nie wykazały żadnych ingerencji. „Jak wynika z opinii biegłego, nie ustalono występowania w dowodowych nagraniach żadnych śladów montażu" - poinformowała wtedy prokuratura.

(PAP)

PUCHAR POLSKI NA ŚLĄSKU

1/2 FINAŁU: GKS II Katowice - Szombierki Bytom 2:2 (0:2) rzuty karne 9:8; LKS II Goczałkowice - Górnik II Zabrze 4:2 (2:0); finał Goczałkowice II - GKS II zaplanowany został na 10 czerwca.

4. LIGA ŚLĄSKA

ROW 1964 Rybnik - Odra Wodzisław Śląski 5:2 (2:0)
Bramki: Juraszczyk 2, 63, 67, Szczepanik 29, Papierok 52 - Oślizlok 60, Kalisz 87.

1. Sparta	34	74	69:34
2. Raków II	33	68	96:57
3. Ruch	33	60	66:46
4. Drama	34	58	69:55
5. ROW	34	56	69:55
6. Rozwój	33	54	67:59
7. Piast II	33	53	60:48
8. Decor	33	50	59:59
9. Victoria	33	49	47:41
10. Kuźnia	34	46	49:54
11. Spójnia	33	43	54:58
12. Przemsza	33	42	66:64
13. Polonia	33	42	49:58
14. Tarnowskie G.	34	41	50:61
15. Ornontowice	33	38	41:55
16. Odra	33	37	60:64
17. Podbeskidzie II	33	34	49:76
18. Unia	33	25	29:64
19. Rekord II	33	17	39:79

BETCLIC 3. LIGA

GRUPA I: Wigry Suwałki - Stomil Olsztyn 1:2.

1. Unia	32	73	81:28
2. Legia II	32	66	72:37
3. Łomża	32	61	62:35
4. Warta	32	49	40:40
5. Broń	32	46	39:43
6. Świt	32	46	45:55
7. Wigry (b)	32	45	42:34
8. Jagiellonia II	32	43	49:47
9. Bełchatów	32	43	47:47
10. Lechia	32	43	51:59
11. Mławianka	32	41	63:60
12. Stomil (s)	32	41	43:51
13. Wisła II (b)	32	39	50:55
14. Wikielec	32	39	36:42
15. Victoria	32	35	48:57
16. Polonia (b)	32	35	41:58
17. Pelikan	32	33	33:53
18. Sokół (b)	32	12	24:65

5. LIGA ŚLĄSKA

GRUPA I: Silesia Miechowice - Szczakowianka Jaworzno 1:2.

1. Kłobuck	27	66	70:30
2. Szombierki	27	65	98:36
3. Zagłębie II	27	61	85:37
4. Ruch II	27	55	59:30
5. Rędziny	27	53	70:42
6. Miasteczko Śl.	28	43	50:60
7. Śląsk	27	41	54:53
8. Mikołów	27	39	56:54
9. Szczakowianka	28	33	46:49
10. Miedary	27	33	45:68
11. Przyszowice	28	27	39:68
12. Skra II-Płomień	27	26	63:70
13. Krzepice	26	25	45:54
14. Miechowice	28	24	48:85
15. Żarki	26	18	19:54
16. Panki	27	10	30:87

ŚLĄSKA KLASA OKRĘGOWA

GRUPA I: Gwarek Zabrze - ŁTS Łabędy 1:3.

1. Concordia	26	59	60:31
2. Łabędy	26	56	92:40
3. Bobrowniki Śl.	26	56	76:43
4. Borowa Wieś	26	47	55:32
5. Boruszowice	26	47	42:40
6. Sierakowice	26	44	57:32
7. Paniówki	26	39	52:44
8. Żyglin	26	37	56:46
9. Strzybnica	26	36	53:69
10. Nakło Śl.	26	35	53:53
11. Sparta	26	35	43:48
12. Sośnica	26	34	44:45
13. Kozłów	26	29	46:58
14. Gwarek	26	18	47:65
15. Chudów	26	13	36:84
16. Rachowice	26	3	22:104

GRUPA VI: LKS Ślemień - Spójnia Zebrzydowice 5:1.

1. Istebna	23	50	53:22
2. Hażlach	23	49	60:28
3. Wisła	23	48	58:34
4. Ślemień	23	46	67:28
5. Cieszyn	23	43	66:40
6. Pietrzykowice	23	37	55:39
7. Strumień	23	37	66:55
8. Słotwina	23	31	47:46
9. Radziechowy-W.	23	28	45:32
10. Żabnica	23	25	38:79
11. Pogórze	23	23	40:46
12. Zebrzydowice	23	15	28:76
13. Rajcza	23	14	23:71
14. Węgierska Górka	23	8	21:71

(m)

Sport 340c392578

Szablowski w Dąbrowie Górniczej?

W MKS-ie szykują zmiany, dzięki którym klub ma powalczyć o fazę play off.

ORLEN BASKET LIGA



Fot. Paweł Bejnarowicz/PressFocus

Krzysztof Szablowski otrzymał ofertę poprowadzenia MKS-u Dąbrowa Górnicza.

W trwającym wciąż sezonie MKS cudem uratował się przed spadkiem. - To był mój błąd. Zbyt długo zwlekałem ze zmianą trenera. Wierzyłem do końca w nasz projekt z Borisem Balibreą - prezes MKS Łukasz Żak tłumaczy, dlaczego tak późno doszło do zmiany szkoleniowca, mimo fatalnych wyników drużyny. MKS zaczął sezon znakomicie, od wygranej w Warszawie z Legią. W kilku kolejnych spotkaniach drużyna nadal pozytywnie zaskakiwała. Potem przyszła koszmarna seria 11 porażek. - Nie było prosto znaleźć nowego trenera, a trzech szkoleniowców mi odmówiło. Dopiero Francuz Jean Denys Choulet podjął się tej misji - opowiada szef klubu.

MKS miał wtedy ogromną stratę w tabeli, właściwie wszyscy już go skreślili. Choulet dokonał kilku zmian w treningach, zawodnicy mu zaufali, przy okazji nie zabrakło szczęścia. I mission impossible została wykonana.

Teraz ma być inaczej. W klubie chcą uniknąć nerwówki z ostatnich rozgrywek. - w tym m.in. celu dokonaliśmy pewnych zmian strukturalnych. Stworzyliśmy stanowisko dyrektora sportowego, którym został Michał Dukowicz. Będzie odpowiadał za sprawy sportowe, za trenera i zawodników - mówi prezes Żak.

Dukowicz jest związany z MKS-em od początku istnienia klubu, pracował jako asystent, bywał głównym trenerem, ostatnio był asystentem przy Balibrei i Choulecie. Był też asystentem Igora Milicicia w reprezentacji Polski w trakcie EuroBasketu 2022.

Teraz w klubie skupiają się na znalezieniu nowego trenera. - Choulet w kontrakcie miał zapis, że w razie utrzymania zespołu w ekstraklasie może kontynuować pracę. Jednak nie był zainteresowany. Szuka nowych wyzwań - mówi prezes MKS.

Francuz nie był zadowolony z polskiej ligi, w trakcie konferencji prasowych narzekał na sędziów, na regulamin PLK, na poziom obcokrajowców. Nie bardzo też pasowało mu życie w Dąbrowie Górniczej. Na co dzień mieszka w maleńkim miasteczku w Loara, rano lubi wyskoczyć na cappuccino i poczytać prasę. W Dąbrowie takiego życia mu brakowało.

Kto zatem będzie nowym trenerem MKS-u? Kandydatem jest Krzysztof Szablowski, który niespodziewanie rozstał się z Dzikami Warszawa. - Tak, potwierdzam. Złożyliśmy panu Krzysztofowi ofertę. Czekamy na ruch z jego strony - przyznaje szef MKS.

Szablowski przez cztery lata pracował w Dzikach, wprowadził ten klub najpierw do 1 ligi, a zaraz potem do ekstraklasy, spokojnie utrzymał zespół w pierwszym sezonie, a w drugim dotarł do fazy play in. W klubie ma status legendy. "**Szabla Forever Dzik**. Trenerze, dziękujemy za wszystko! Zawsze będziemy trzymać za Ciebie kciuki" - napisano w mediach społecznościowych na pożegnanie.

Szablowski wyrobił sobie markę w PLK, ofert ma zapewne kilka. Decyzja powinna zapaść w ciągu kilku najbliższych dni. W Dąbrowie Górniczej temat trenera chcą zamknąć najpóźniej do czerwca.

Jaki budżet będzie miał MKS? - Obecnie jesteśmy w trakcie rozmów w Urzędzie Miasta. Gmina to nasz główny sponsor. Od tych rozmów będzie zależała wysokość budżetu na nowy sezon - dodaje prezes.

Klub opuścił asystent trenera Adam Engström, który został pierwszym coachem szwedzkiego zespołu Norrköping Dolphins. Można się spodziewać, że kilku zawodników w zespole zostanie. Klubowi zależy na zatrzymaniu Marcina Piechowicza i Szymona Ryżka, ofertę przedłużenia kontraktu otrzyma także Amerykanin Raymond Cowels, który ma duży udział w utrzymaniu drużyny.

(p)

Sensacja za sensacją

W Sopocie niespodzianka dużego kalibru na początek półfinałowej rywalizacji.

ORLEN BASKET LIGA

We wtorek przegrał rozstawiony z jedynką Anwil. W środę sensacyjnie zakończył się mecz mistrza Polski. W Ergo Arenie goście z Lublina znokautowali sopocian w pierwszej połowie, po której prowadzili 15 punktami (56:41). Miejscowi nie potrafili zatrzymać Emmanuela Lecomte'a, który do przerwy zdobył 19 punktów. Cały zespół Startu świetnie rzucał z dystansu (10/14). Po przerwie obraz gry nie uległ zmianie. Gospodarze lepiej zbierali piłki, ale zupełnie nie przekładało się to na wynik. Wszystko przez fatalną skuteczność rzutów z gry. Nie miał swojego dnia Jakub Schenk, który przestrzelił wszystkie 9 rzutów!

Trefl Sopot - PGE Start Lublin 81:100 (18:29, 23:27, 22:22, 18:22)
Stan rywalizacji: 0-1
SOPOT: Best 15 (1x3), Kennedy 10 (1x3), Johnson 16 (2x3), Groselle 13, Weathers 5 (1x3) - Alleyne 6 (2x3), Witliński 6, Zyskowski 9, Schenk 1. Trener Żan TABAK.
LUBLIN: Krasuski 11 (1x3), De Lattibeaudiere 3, Williams 7 (1x3), Lecomte 26 (2x3), Drame 14 (3x3) - Ramey 16 (4x3), Pelczar, Brown 20 (4x3), Szymański, Put 3 (1x3). Trener Wojciech KAMIŃSKI.
Najbliższe mecze: Włocławek - Warszawa (29.05.), Sopot - Lublin (30.05.).

(p)

WOKÓŁ SIATKI

Młoda i zdolna

■ BKS BOSTiK ZGO Bielsko-Biała poinformował, że w klubie na kolejny sezon zostaje Wiktoria Szewczyk. To druga zawodniczka, która przedłużyła umowę z bialskim klubem. Wcześniej zrobiła to Martyna Borowczak.
Szewczyk jest jedną z najbardziej utalentowanych rozgrywających w kraju. Mimo że ma dopiero 17 lat już otrzymała powołanie na zgrupowanie reprezentacji Polski seniorek! Obecnie trenuje wraz z kadrą do lat 21, a więc z dziewczynami starszymi od siebie o 4 lata.
Dla Szewczyk będzie to drugi sezon w barwach BKS-u Bistik ZGO.

Holenderka zostaje

■ Marrit Jasper na kolejny sezon przedłużyła umowę z DevelopResem Rzeszów. „Z radością informujemy, że jedna z naszych kluczowych zawodniczek – Marrit Jasper – zostaje w drużynie na kolejny sezon. Holenderska przyjmująca, znana ze swojej waleczności, skutecznych ataków i stabilnego przyjęcia, zdecydowała się kontynuować swoją przygodę z Developresem. To nie tylko świetna wiadomość dla kibiców, ale także potwierdzenie naszych najwyższych ambicji na nadchodzący sezon. Jasper swoją postawą, zarówno na boisku, jak i poza nim, zdobyła uznanie sztabu oraz fanów, którzy nie wyobrażają sobie drużyny bez jej obecności" – poinformował klub w specjalnym komunikacie.

Czwórka mistrzów

■ Czterech kolejnych siatkarzy: Kewin Sasak, Kanadyjczyk Fynnian McCarthy, Jakub Wachnik i Maciej Czyrek pozostaje w zespole mistrza Polski Bogdanka LUK Lublin - poinformował klub.
28-letni atakujący Sasak oraz 25-letni środkowy McCarthy w decydującej fazie rozgrywek ligowych i CEV Challenge Cup byli zawodnikami podstawowej szóstki i znacząco przyczynili się do zdobycia trofeów krajowego i kontynentalnego. Dla obydwu był to pierwszy sezon w barwach lubelskiej drużyny, a Sasak powołany został przez Nikolę Grbica do tegorocznej kadry narodowej.
Wcześniej umowy przedłużyli też Marcin Komenda, brazylijski libero Thales Hoss i bułgarski środkowy Aleks Grozdanow.

(mic)

WYCZYN HALIBURTONA

NBA

■ Sytuacja w obu konferencjach jest taka sama: zespołom z Oklahoma City oraz Indianapolis brakuje już tylko jednej wygranej, by dostać się do wielkiego finału. We wtorek Pacers po raz czwarty spotkali się z Knicks i zanotowali trzecie zwycięstwo. Gospodarze zaczęli fantastycznie, wygrali pierwszą kwartę 8 punktami, zdobyli aż 43 oczka! Grali w tym okresie przy fantastycznej skuteczności rzutów zza łuku (aż 75 procent, 6 z 8 trójek!). Potem jednak mecz był bardzo zacięty, w drugiej kwarcie nowojorczycy objęli nawet prowadzenie. Przez większość spotkania Knicks jednak gonili wynik, w czwartej kwarcie przewaga Indiany sięgnęła nawet 15 oczek. Przyjezdni dali radę zmniejszyć straty do 6 punktów (114:120), ale na więcej świetnie dysponowani rywale już nie pozwolili. Historyczny mecz rozegrał Tyrese Haliburton, który zanotował rzadko spotykany triple double (32 punkty, 15 asyst, 12 zbiórek) bez popełnienia choćby jednej straty. To pierwsze takie osiągnięcie w play offie NBA, odkąd w sezonie 1977/78 wprowadzono pomiar strat piłek. - Dziś chodziło tylko o zwycięstwo. Chcieliśmy udowodnić, że potrafimy odpowiedzieć, gdy jesteśmy przyparci do muru, gdy rywal naciska naprawdę mocno. Czuję, że zareagowaliśmy właściwie - mówił po meczu bohater spotkania.
Mecz z trybun oglądał ojciec Haliburtona, a przypomnijmy, że John Haliburton dostał zakaz pojawiania się na meczach domowych po tym jak po spotkaniu z Milwaukee sprowokował awanturę z Giannisem Antetokounmpo. Teraz przywrócono mu możliwość zasiadania w Gainbridge Fieldhouse.
W ekipie miejscowych bardzo dobrze zagrał też Pascal Siakam, który zdobył 30 punktów, a trójka w wykonaniu Obi Toppina na 46 sekund przed końcem przypieczętowała wygraną.
Po drugiej stronie dobre zawody zagrali Jalen Brunson (31 punktów, 5 asyst), Karl Anthony-Towns (24 punkty, 12 zbiórek) oraz Josh Hart (12 punktów, 11 zbiórek). To było jednak za mało, by wygrać. - Wszyscy musimy grać lepiej. Musimy być lepsi jako zespół - przekonywał Anthony-Towns. - Szkoda, że nie udało nam się znaleźć sposobu dziś wieczorem. W poprzednich seriach umieliśmy się odnaleźć - kręcił głową środkowy Knicks. 25 lat temu Pacers pokonali Knicks i awansowali do wielkiego finału. Po ćwierć wieku znowu są blisko historycznego wydarzenia. Gra numer 5 już w czwartek w Nowym Jorku.
Finał Konferencji Wschodniej: Indiana - New York 130:121 (stan rywalizacji: 3-1) **(p)**

Sport 340c392578

Trudne początki



Fot. PAP/Jarek Praszkiewicz.

Bartosz Gomułka i jego koledzy przekonali się, że gra w biało-czerwonej koszulce sporo waży.

Biało-czerwoni w pierwszym swoim meczu w turnieju Silesia Cup nieoczekiwanie przegrali z Ukrainą. Spotkanie trwało blisko trzy godziny.

REPREZENTACJA POLSKI MĘŻCZYZN

Nikola Grbić, trener naszej reprezentacji, zapowiedział, że w turnieju w Katowicach i Gliwicach, w którym oprócz naszej ekipy występują Ukraina, Niemcy oraz Bułgaria, da pograć debiutantom lub zawodnikom, którzy do tej pory w kadrze występowali niewiele. I tak zrobił. W kadrze na pierwsze spotkanie z Ukrainą było aż ośmiu debiutantów m.in.: Mateusz Czunkiewicz, Mikołaj Sawicki, Kewin Sasak, Seweryn Lipiński czy Michał Gierżot. Ten ostatni to największy pechowiec w reprezentacji. W poprzednich latach dwukrotnie był do niej powoływany, przyjeżdżał na zgrupowanie, ale za każdym razem „łapał" kontuzję i debiutu się nie doczekał. Tym razem wreszcie zagrał w biało-czerwonych barwach i od razu wyszedł w podstawowym składzie. Na początku spotkania był najbardziej zapracowanym graczem w naszej ekipie. Rozgrywający Łukasz Kozub bardzo często wystawiał mu piłkę. Kilka razy rywale złapali go blokiem, ale większość ataków skończył. Dobrze prezentowali się też kolejny debiutant Bartosz Gomuła i najbardziej doświadczony w tym gronie Rafał Szymura.

Mecz na początku był bardzo wyrównany, bo Ukraińcy nie ustępowali. Też mieli atuty, zwłaszcza w postaci Ilii Kowalowa oraz Dmytro Janczuka. Gra toczyła się punkt za punkt, acz poziom daleki był od wysokiego. Widać było, że zawodnicy czuli jeszcze w nogach trudy niedawno zakończonego sezonu klubowego i treningów w kadrze. Gra była schematyczna i wolna. Siatkarze popełniali mnóstwo błędów, przede wszystkim w polu serwisowym.

Z czasem przewagę zyskali Biało-czerwoni. Po asie serwisowym Szymury wynosiła trzy punkty (18:15). Polacy prowadzenia już nie oddali, choć kilka razy rywale byli bliscy doprowadzenia do remisu. Seta zakończył udanym atakiem Gierżot.

W kolejnym znów górą była nasza drużyna, ale meczu w trzech partiach nie udało jej się zakończyć. Ukraińcy bowiem po dwóch przegranych odsłonach nie zwiesili głów. W czwartej odsłonie wygrywali nawet 11:4. By nie doszło do kompromitacji, Grbić zmuszony został do sięgnięcia po wszystko, co miał najlepszego. Na parkiecie pojawili się więc: Artur Szalpuk, Mateusz Poręba, Firlej i Sasak. Po zmianach gra naszej drużyny znów nabrała tempa i rytmu. Polacy błyskawicznie niwelowali straty. Gdy było 21:22 wydawało się, że odmienią losy seta. W kluczowym momencie jednak Szalpuk pomylił się w ataku, a po chwili zaserwował w siatkę i w ten sposób Ukraińcy doprowadzili do tie-breaka.

Decydujący set tylko na początku był wyrównany. Potem inicjatywę przejęli Ukraińcy. Kapitalnie bronili – bezradni byli i Sasak, i Szalpuk – a w ataku brylowali Kowalow, Janczuk i Jurij Semeniuk. Od stanu 6:8 Polacy wywalczyli tylko punkt!

Kolejne mecze turnieju w piątek w Gliwicach: Niemcy – Ukraina (godz. 16.00), Polska – Bułgaria (19.00). **(mic)**

■ **Polska – Ukraina 2:3 (25:22, 25:22, 35:37, 22:25, 7:15)**

POLSKA: Kozub, Szymura, Lipiński, Gomułka, Gierżot, Adamczyk, Czunkiewicz (libero) oraz Sasak, Firlej, Sawicki, Zaleszczyk, Szalpuk, Poręba. Trener Nikola GRBIĆ.

UKRAINA: Szczytkow, Kowalow, Semeniuk, Urywkin, Janczuk, Todua, Boiko (libero) oraz Nałożnyj, Tewkun, Synytsia, Tupczij. Trener Raul LOZANO.

Sędziowali: Piotr Król (Katowice) i Wojciech Maroszek (Żory). **Widzów** 6500.

Przebieg meczu

I: 10:9, 15:13, 20:18, 25:22.
II: 10:8, 15:12, 20:16, 25:22.
III: 10:8, 14:15, 17:20, 24:25, 30:29, 34:35, 35:37.
IV: 3:10, 8:15, 16:20, 22:25.
V: 3:5, 6:10, 7:15.

Bohater – Ilia KOWALOW.

■ **Bułgaria – Niemcy 3:0 (25:20, 27:25, 25:22, dodatkowy set 25:12)**

Wielki hołd dla Złotek

Katowicka Aleja Gwiazd Siatkówki wzbogaciła się o kolejne pamiątkowe tablice.

Jedna z nich poświęcona została Złotkom nieżyjącego już trenera Andrzeja Niemczyka, które w 2003 i 2005 roku zdobyły mistrzostwo Europy. Do Katowic przyjechało 12 zawodniczek, m.in. Aleksandra Jagieło, Sylwia Pycia, Maria Liktoras, Dominika Leśniewicz, Mariola Zenik, Magdalena Śliwa, Małgorzata Niemczyk i Milena Rosner. - Dziękujemy za pamięć, za to, że byliście zawsze z nami. Wiemy, że przeżywaliście razem z nami te piękne chwile. Kibicujmy teraz młodszym. Żebyśmy nie były tymi jedynymi, które zdobyły złoty medal mistrzostw Europy – powiedziała Magdalena Śliwa, była rozgrywająca kadry.

W środę swoje tablice odsłonili także były selekcjoner Biało-czerwonych Raul Lozano, ich obecny szkoleniowiec Nikola Grbić oraz zawodnicy Łukasz Żygadło i Łukasz Kaczmarek (reprezentowali go żona i dzieci). Swoją tablicę ma już również firma Orlen, która od 15 lat współpracuje z polską federacją. **(mic)**

Pożegnań ciąg dalszy

Trener Marcelo Mendez oraz środkowy Norbert Huber i przyjmujący Timothee Carle oficjalnie pożegnali się z jastrzębskim klubem.

JSW JASTRZĘBSKI WĘGIEL

Szkoleniowiec z Argentyny spędził w JSW Jastrzębskim Węglu łącznie trzy sezony. Okres ten był pasmem sukcesów. Zdobył z drużyną dwukrotnie mistrzostwo Polski (2023, 2024), Puchar Polski (2025) oraz Superpuchar (2022). Dwukrotnie doprowadził ją też do finału Ligi Mistrzów, ale oba decydujące spotkania jastrzębianie przegrali, w 2023 roku z ZAKSĄ Kędzierzyn-Koźle 2:3 i w 2024 z Itasem Trentino 0:3. - Wykonałem w Jastrzębiu dobrą robotę. Czułem się z tym ludźmi naprawdę świetnie, a to było najważniejsze. Ze sztabem, z klubem, z prezesem, ze wszystkimi zawodnikami. Czułem się tutaj jak w domu. To było kluczowe dla mnie. Dzięki temu mogliśmy grać dobrze i tak też się prezentowaliśmy. Wygraliśmy całkiem sporo. To były trzy niesamowite lata – podsumował swój pobyt w jastrzębskim klubie 61-letni Marcelo Mendez.

Carle w JSW Jastrzębskim Węglu grał tylko rok. Był dziesiątym Francuzem w historii klubu i jak jego rodacy nie zawiódł. - To był intensywny sezon z mnóstwem emocji. Z wieloma dobrymi, ale i gorszymi momentami, ale jakbym miał podsumować, to tylko pozytywnie. Było wspaniale, jeśli chodzi o siatkówkę i tak samo, jeśli chodzi o życie - powiedział Timothe Carle klubowym mediom.

Huber odchodzi natomiast po dwóch latach. - Zapamiętam ten czas jako chyba najlepszy w mojej przygodzie ze sportem. Był to bardzo dojrzały pobyt, taki bardzo świadomy. Byłem bardzo świadomy siebie, swoich potrzeb i oczekiwań. Te oczekiwania też miałem bardzo wysokie. Bywały dni, że byłem w stanie im sprostać, ale czasem były dni, gdy się to nie udawało. Zawsze było jednak dobrze, na wysokim poziomie, z gracją i szacunkiem. Mam nadzieję, że może kiedyś tu wrócę i znów będzie mi dane założyć koszulkę Jastrzębskiego Węgla. Dalej grać i cieszyć tutaj kibiców, dawać im uśmiech i radość, tworząc historię – powiedział wzruszony Norbert Huber.

Mendez w nowym sezonie ma pracować we włoskim Itasie Trentoino, Huber i Carle także opuszczają PlusLigę. Mają grać w Japonii. Dodajmy, że w cześniej z klubem pożegnali się Tomasz Fornal i Jakub Popiwczak. **(mic)**

Hiszpańska myśl

Guillermo Falasca został nowym trenerem częstochowskiego klubu. Umowa ma obowiązywać rok.

STEAM HEMARPOL NORWID CZĘSTOCHOWA

Falasca ma 48 lat. Jest Hiszpanem, ale urodził się argentyńskiej Mendozie. Jako zawodnik występował na pozycji atakującego, reprezentując barwy klubów z Hiszpanii, Francji, Włoch, Turcji oraz Korei Południowej. Największy sukces odniósł z reprezentacją Hiszpanii, zdobywając złoty medal mistrzostw Europy w 2007 roku, które rozegrano w Moskwie.

Karierę sportową zakończył w 2015 roku, ale siatkówki nie rzucił. Został trenerem. Do tej pory pracował w hiszpańskim Feel Volley Alcobendas, francuskim Narbonne Volley i ostatnio we włoskiej Cisterna Volley. „Przybycie Guillermo Falaski do Norwida Częstochowa to znaczące wzmocnienie sztabu szkoleniowego. Jego doświadczenie zarówno jako zawodnika, jak i trenera, ma na celu podniesienie poziomu sportowego drużyny i wprowadzenie nowej jakości w przygotowaniach do sezonu" – napisał klub w komunikacie.

– Cieszę się, że dołączam do Norwida. Częstochowa to miejsce z wielkimi tradycjami w polskiej siatkówce, z jasnym i ambitnym projektem. Przyciągnęła mnie możliwość bycia częścią rozwijającej się struktury, opartej na solidnych fundamentach i prawdziwej pasji do sportu. Poczułem, że to odpowiednie miejsce, aby przekazać swoje doświadczenie i wciąż rozwijać się jako trener – powiedział Guillermo Falasca.

Dodajmy, że jego bratem był zmarły w 2019 roku Miguel Angel Falasca, były zawodnik, a następnie trener PGE Skry Bełchatów. Jako zawodnik trzykrotnie (2009-11), a jako trener raz (2014) wywalczył z nią mistrzostwo Polski. **(mic)**

Sport 340c392578

Przygoda jakich mało...

Dziewiętnastoma w lidze i osiemnastoma w reprezentacji – tyloma sezonami Leszek Laszkiewicz zapracował na miejsce w Galerii Sław IIHF.

Czuję się spełniony, bo moja sportowa przygoda była wielce interesująca i długa. Jestem zadowolony z każdej decyzji, jaką podjąłem i nie mam powodów do narzekań. Nigdy się nie oszczędzałem i nigdy nie odmawiałem gry w reprezentacji i za mną 18 mistrzostw świata. Niemal w każdym sezonie zaliczałem około 90 meczów, ale miałem to szczęście, że poważne kontuzje mnie omijały – mówi Leszek Laszkiewicz, wielokrotny reprezentant kraju, który w minioną sobotę w Sztokholmie otrzymał nagrodę Richarda „Bibiego" Torrianiego za wybitne zasługi - nie tylko dla naszego reprezentacyjnego hokeja - i znalazł się w Galerii Sław IIHF. - To był niesłychanie podniosły moment i ukoronowanie tego, co przeżyłem na lodzie – dodał już po uroczystości.

Nieoczekiwana nominacja

- Każdy chciał uczęszczać do tej elitarnej szkoły, a konkurencja była ogromna - uśmiecha się „Laszka", bo taki nosi przydomek. - Liczba miejsc była ograniczona, zaś kandydatów dwa razy tyle, a może i więcej. Pamiętam, że z kadrą Śląska wyjechałem na mecze kontrolne z Białorusią. Był na nich Władimir Safonow, ówczesny trener głównyw szkole. Po powrocie mój starszy o dwa lata brat, Daniel, zadzwonił do mnie, czy nie chciałbym uczyć się i trenować w tej szkole. Wow – krzyknąłem i podskoczyłem z radości. Jednocześnie miałem ogromną tremę, wszak byłem młodszy o właśnie dwa lata od pozostałych. Miałem z z kolegami to szczęście, że trafiliśmy pod opiekę fachowców. Oprócz Safonowa w szkole pracował nieżyjący już Jerzy Mruk, który posiadał ogromną wiedzę i wpajał nam tajniki taktyczne, a ponadto kierował się zasadami fair play i do tej pory słyszę jego krzyk: - Leszek, skrzydło, pilnuj skrzydła! Za przygotowanie fizyczne odpowiedzialny był Walenty Ziętara. To właśnie oni sprawili, że dokonałem skoku jakościowego i nieco później wraz z kolegami zakotwiczyłem w reprezentacji. Teraz śladem swojego taty, Daniela, podążył mój chrześniak Oskar, który uczęszczał do SMS-u (w nowym sezonie ma występować w bytomskiej Polonii – przyp. red.). Czasy się zmieniły i wielu młodych zawodników szkoli się poza granicami, a niektórzy, z różnych względów, rezygnują z edukacji w tej szkole.

Zagraniczne wojaże

„Laszce" przepowiadano karierę za granicą. Ice Tigers Norymberga, Witkowice, Hawirzów, znów Witkowice, Milano Vipers – to przystanki w jego karierze, ale wracał na krajowe podwórko i był kluczową postacią kilku klubów.

- Chyba w Mediolanie czułem się najlepiej i mógłbym tam się zadomowić, ale zadecydował względy rodzinne – uśmiecha się Laszkiewicz. - Zacznijmy jednak od początku. Andrzej Frysztacki, ówczesny prezes JKH GKS-u Jastrzębie, a jednocześnie agent hokejowy, po skończeniu SMS-u i po udanych mistrzostwach juniorów pomógł mi w wyjeździe do niemieckiego klubu, wicemistrza DEL. Byłem młody, z głową pełną marzeń i nadzwyczaj ambitny. W pierwszym sezonie grałem w trzeciej formacji, a więc całkiem przyzwoicie, ale w drugim zmienił się trener i byłem zesłany do ostatniej piątki. Pracowałem ciężko i, w moim przekonaniu, zasługiwałem na nieco inne potraktowanie przez szkoleniowców. Byłem młody i niecierpliwy, chciałem grać więcej i doszedłem do wniosku, że nic po mnie w Niemczech. Moim zdaniem ten sezon był dla mnie stracony. Kolejne wyjazdy były przeplatane występami w naszych drużynach z Krynicy czy z Oświęcimia. W tym drugim mieście mile wspominam grę, bo mieliśmy trenera Andreja Sidorenkę, który gonił do pracy i klasowych zawodników. No i były złote medale. W Czechach mój pobyt nie był zbyt udany i szkoda nad tym się dłużej rozwodzić. W końcu wylądowałem już z rodziną w Milano, gdzie mieliśmy silną drużynę, wzmocnioną zawodnikami zza oceanu, bo tam był lokaut. Zdobyliśmy podwójną koronę Włoch, czyli mistrzostwo i puchar, oraz wysokie, trzecie miejsce w Pucharze Kontynentalnym.

To był dla mnie dobry czas, ale są sprawy ważniejsze niż sport. W Mediolanie byłem z żoną i małą córką. Ja ciągle w rozjazdach, zaś żona zajmowała się domem i dzieckiem. Otrzymałem propozycję przedłużenia umowy na kolejny sezon, ale po długich domowych dyskusjach podjęliśmy decyzję o powrocie. Chcieliśmy mieć pewny grunt i stabilizację na dłużej niż rok. Już wspominałem, że podejmowałem rozsądne decyzje i żadnej nie żałuję.



Robert Kalaber, trener reprezentacji, i Leszek Laszkiewicz jej dyrektor - to nierozłączny duet.

Fot. Łukasz Sobala/PressFocus

Krakowska stabilizacja i nie tylko...

Nasz bohater wojaże zagraniczne, jak już wspomnieliśmy, przeplatał występami w kraju. W Oświęcimiu trafił na „złoty" czas zespołu - okraszony sukcesami. Gdy zdecydował się na powrót z Włoch, w propozycjach mógł przebierać, bo każdy chciał mieć tak skutecznego napastnika.

- Najważniejsza była rodzina i stabilizacja – wspomina Laszkiewicz. - To był taki czas, że w klubach wiele obiecywano, ale nie wszystko realizowano. W Krakowie ciekawy projekt stworzył profesor Janusz Filipiak, a ja otrzymałem konkretną propozycję i na nią przystałem. W Cracovii, sponsorowanej przez należącą profesora firmę Comarch, spędziłem osiem lat, które będę wspominał z sentymentem, choć z drobnymi wyjątkami.

Zespół kierowany przez trenera Rudolfa Rohačka notował pasmo sukcesów - zdobywał złoto bądź stawał na nieco niższym podium, jednak nawet w najbardziej zgodnej grupie pojawiają się nieporozumienia, zgrzyty i dochodzi do konfliktów.

- Nie chcę rozgrzebywać bolesnych ran, bo to minęło i pragnę w swojej pamięci pozostawić najlepsze wspomnienia. Ograniczę się tylko do tego, że trener posądził mnie i kilku moich kolegów o to, że sprzedawaliśmy mecze. To poważne oskarżenie, ale niepoparte żadnymi dowodami. Gdy odnosiliśmy sukcesy, trener stawał na czele i wypinał pierś, a gdy trafiały się porażki, całą winę zrzucał na nas, liderów drużyny. Mógłbym opowiedzieć kilka ciekawostek z życia trenera i naszej drużyny, ale to nie ma żadnego sensu, bo tamten czas minął, jednak noszę głęboką zadrę i nie da się jej zabliźnić, zostanie do końca życia – wyjawia Laszkiewicz kulisy rozstania z krakowskim klubem.

Powrót do źródeł

Po tak poważnych oskarżeniach nie chciał już występować w Pasach, choć spędził w nich najlepsze lata. Przeniósł się wraz z kolegami na chwilę do KTH Krynica, bo zrodził się pomysł ówczesnego trenera reprezentacji Igora Zacharkina, by w jednym zespole zgromadzić jak najwięcej kadrowiczów. W projekt miał zainwestować tajemniczy sponsor ze Wschodu. Z obiecanek nic nie wyszło i zawodnicy już w trakcie sezonu musieli szukać nowych miejsc pracy.

- Byłem już po słowie z szefem sekcji hokejowej Wojciechem Matczakiem i lada chwila miałem zagrać w GKS-ie Tychy. Po raz pierwszy i ostatni nie dotrzymałem umowy. Zwrócił się do mnie Andrzej Frysztacki, wówczas wiceprezes klubu, czy nie pomógłbym zespołowi z Jastrzębia, bo znalazł się w trudnej sytuacji. Nie mogłem odmówić i tak spędziłem pięć sezonów. Zdobyłem srebro i brąz z JKH, bo rwa kulszowa sprawiła, że musiałem zakończyć grę. Z potrójnej korony, czyli mistrzostwa, Pucharu i Superpucharu Polski cieszyłem z chłopakami i ze sztabem szkoleniowym już jako dyrektor sportowy klubu – śmieje się nasz bohater.

Bez oszczędzania

Dziewiętnaście sezonów krajowych i osiemnaście reprezentacyjnych, nie licząc wojaży zagranicznych - razem pewnie by się zebrało grubo ponad 1000 meczów i pewnie w okolicach 1500 punktów.

- Trzeba byłoby znaleźć dobrego rachmistrza – śmieje się „Laszka". A po chwili poważniej: - Nigdy się nie oszczędzałem, nie szukałem wymówek i byłem na każde zawołanie trenerów kadry. Występy w reprezentacji to była dla mnie świętość. Gdy byłem przeziębiony czy doskwierała mi drobna kontuzja, to nie miałem wątpliwości i przyjeżdżałem. A teraz (macha ręką i wzdycha – przyp. red.) jest... nieco inaczej, ale to inne czasy. Gdy byłem w kadrze, nie mieliśmy takich cieplarnianych warunków, teraz natomiast niczego nie brakuje. Przeżyłem przygodę, jakich mało. Cieszyliśmy się ze zwycięstw, awansu do elity (2001 r. Grenoble – przyp. red), ale przeżywaliśmy gorycz porażki - wszystko to jest wpisane w sportowy życiorys. Miałem to szczęście, że działacze oraz trener Robert Kalaber zaufali mi i mogę występować w podwójnej roli dyrektora sportowego JKH GKS-u Jastrzębie i dyrektora reprezentacji (awans hokeistów 2023 r. do elity - przyp. red.). Najważniejsze, że pracuję niemal w tym samym rytmie i adrenalina ciągle buzuje – nasz rozmówca uśmiecha się na pożegnanie.

Jako pierwszy w Galerii Sław IIHF znalazł się Henryk Gruth, teraz do tego ekskluzywnego towarzystwa dołączył Leszek Laszkiewicz Na kolejnego laureata trzeba będzie poczekać nieco dłużej...

Włodzimierz Sowiński



Leszek Laszkiewicz swoją bogatą karierę rozpoczynał i kończył w Jastrzębiu-Zdroju.

Fot. Piotr Matusewicz/PressFocus

Leszek LASZKIEWICZ – ur. 11.08.1978 r. w Jastrzębiu-Zdroju; dwie córki (Laura i Lena). Kariera klubowa: GKS Jastrzębie (wychowanek); SMS Sosnowiec; Ice Tigers Norymberga (1997-99); KTH Krynica (1999-2000), Unia Oświęcim (2000-02), HC Witkowice (2002-03), HC Hawirzów (2003), Unia (2003-04), Milano Vipers (2004-05), Comarch Cracovia (2005-13), KTH Krynica (2013), JKH GKS Jastrzębie (2013-18). W naszej lidze rozegrał 856 meczów i uzyskał 1065 pkt (509 goli+556 asyst). Sukcesy: 14 medali, w tym 8 złotych (3 z Unią i 5 z Comarch Cracovią), 3 srebrne i 3 brązowe. Puchar Polski z Unią. Ponadto wicemistrz DEL z Norymbergą, mistrz i zdobywca Pucharu Włoch z Milano Vipers (2005). Reprezentacja: 216 spotkań i 89 bramek. Sukces: awans do elity (2001).

Sport 340c392578

Kolekcjoner złota

Andrzej Rzeszutek mistrzem Europy w skoku z trampoliny 3-metrowej.

Stało się to w trakcie rywalizacji w tureckiej Antalyi. Wychowanek Stali Rzeszów, a obecnie zawodnik AZS-u Politechnika Łódzka, uzyskał łączną notę 431,25 pkt. Na podium stanęli także Brytyjczyk Noah Penman i Niemiec Moritz Linus Wesemann. Drugiego Penmana nasz reprezentant wyprzedził o 1,55, a trzeciego Wesemanna o 4,40.

W eliminacjach odpadł drugi z Polaków, Kacper Lesiak, który zajął 17. miejsce.

To jedyny medal biało-czerwonych w zawodach w Turcji, które zakończyły się w środę. Wcześniej ich najlepszy wynik to była czwarta pozycja, którą zajął Rzeszutek w skokach z trampoliny 1-metrowej, Maria Łukaszewicz, Kaja Skrzek, Robert Łukaszewicz i Rzeszutek w konkurencji drużynowej oraz duet mieszany Aleksandra Błażowska i Lesiak w konkursie skoków synchronicznych z trampoliny 3 m. W rywalizacji kobiet z trampoliny 3 m Błażowska zajęła 10. miejsce, a Skrzek 11.

Rzeszutek po raz drugi w karierze został indywidualnym mistrzem Europy w skokach do wody. Rok temu wywalczył złoto na trampolinie 1-metrowej. W poprzedniej edycji imprezy zdobył także brąz z Lesiakiem w skokach synchronicznych z trampoliny 3 m.

W drugiej z konkurencji rozgrywanych w środę Hiszpanki Valeria Angelina Antolino Pacheco i Ana Carvajal San Miguel z dorobkiem 305,82 pkt wygrały skoki synchroniczne z wieży 10 m. Drugie miejsce zajęły Ukrainki Ksenia Baiło i Sofija Łyskun - strata 19,38, a trzecie Niemki Carolina Coordes i Pauline Alexandra Pfeif - strata 27,12. Polki nie startowały.

(PAP)



Fot. Facebook

Dla Andrzeja Rzeszutka to nie pierwszy sukces w karierze.

WŁAŚCIWA DROGA

NHL

■ Edmonton Oilers są na dobrej drodze do dziewiątego triumfu w Konferencji Zachodniej, jednak wszyscy związani z zespołem marzą o zdobyciu Pucharu Stanleya. W kolekcji klubowej już jest pięć pucharów, ale ostatni zdobyty był odległych czasach, bo w sezonie 1989/90. Nafciarze mają teraz dobrą sytuację, bowiem wygrali z Dallas Stars 4:1 (1:0, 1:1, 2:0) i prowadzą w serii 3:1. Trzeba wygrać jeszcze jedną potyczkę, ale z reguły jest to najtrudniejsze zadanie.

Wynik sugeruje dość znaczną przewagę gospodarzy, ale wszystkie zestawienia statystyczne były podobne. Kluczowe znaczenie po raz kolejny miała gra w formacjach specjalnych, a potem krążek trafiał do pustej bramki. Ale po kolei... Doborowy kwartet, Corey Perry – Connor McDavid - Leon Draisaitl, czyli pierwszy atak, oraz środkowy drugiej formacji Ryan Nugent-Hopkins, zadecydowali o wygranej. Niemiec Draisaitl jako pierwszy pokonał (12 min, w przewadze) Jake'a Oettingera (30 obron), zaś asystowali mu Nugent-Hopkins i Perry. Ten ostatni zdobył drugiego gola (30, w przewadze), gdy podawali: ponownie środkowy drugiego ataku i Connor McDavid. Jason Robertson w podobnych okolicznościach (27) okazał się lepszy od Stuarta Skinnera (28 skutecznych interwencji).

Po 40 min było zaledwie 2:1. Gdy mecz zbliżał się do końca Peter DeBoer, trener gości, musiał wycofać bramkarza. - Gdy przegrywasz jednym golem, to trudno się pogodzić z tym faktem. Przede wszystkim musimy się wystrzegać osłabień – stwierdził po meczu szkoleniowiec.

Oettinger zjechał z lodu i Kasperi Kapanen, po podaniu Draisaitla, posłał krążek do pustej bramki. Wyczyn ten skopiował, przy pomocy McDavida, Adam Henrique na 50 sek. przed końcową syreną. Radość ze zwycięstwa gospodarzy nieco zmąciła kontuzja Zacha Hymana, który w 10 min został uderzony przez Masona Marchmenta i już nie pojawił się na lodzie.

Teraz rywalizacja przenosi się do Dallas i gospodarze już nie mają wyboru. Muszą wygrać, by kontynuować serię.

Półfinał Pucharu Stanleya

Konferencja Zachodnia: Edmonton - Dallas 4:1, stan rywalizacji 3-1.

(ws)



Fot. Przemysław Strąk/PressFocus

Wracający po kontuzji Alex Dujszebajew (z piłką) nie mógł w Płocku liczyć na taryfę ulgową.

Pod znakiem jakości

Jeśli naprzeciw siebie stają najlepsze od lat zespoły w kraju, to należy się spodziewać emocji na najwyższym poziomie i takie też były w pierwszym meczu finałowym.

ORLEN SUPERLIGA MĘŻCZYZN

Orlen Wisła Płock czy Industria Kielce? To pytanie zadawane jest od wielu lat, a dotyczy kwestii mistrzostwa Polski. Od dawna wiadomo, że te zespoły prezentują najwyższy poziom, wyprzedzając konkurencję o dwie lub więcej długości, więc w sezonie zasadniczym nie mają z kim przegrać. W ciemno można obstawiać, że spotkają się w nim właśnie te zespoły. Gwarantują one wysoki poziom sportowy, wielkie emocje i zaciętą walkę do ostatniej syreny. Nie inaczej było we wtorkowy wieczór.

Trzeba poczekać

W związku z tym, że w 26 kolejkach sezonu zasadniczego Płock i Kielce zdobyły po 75 punktów, notując po jednej porażce (Industria przegrała w Orlen Arenie 25:29, a Wisła uległa w Hali Legionów 24:25) i choć minimalnie korzystniejszy bilans bramkowy mieli kielczanie (319:313), to przy ustaleniu 1. i 2. miejsca najistotniejszy był dwumecz, a w nim - o 3 trafienia - lepsi byli obrońcy tytułu. Oznacza to, że jeśli do wyłonienia mistrza potrzebne będą trzy spotkania, to decydujące odbędzie się w Płocku. Do tego jednak daleka droga, ponieważ jego termin wyznaczono na 8 czerwca, a zanim ewentualnie do niego dojdzie, czeka nas drugie starcie, zaplanowane na 4 czerwca. - Jestem zaskoczony, że na dalszy ciąg finałowych emocji musimy czekać ponad tydzień - dziwił się Artur Siódmiak, były reprezentacyjny obrotowy, a obecnie ekspert Polsatu Sport. - Nie mamy na to wpływu, taką decyzję podjęły władze Superligi i musimy ją zaakceptować. Gdyby przyszło mi grać w tym finale, już dzień po pierwszym meczu przebierałbym nogami z niecierpliwości i po 3-4 dniach byłbym gotów wybiec na parkiet - dodawał Grzegorz Tkaczyk, były kapitan reprezentacji za jej najlepszych czasów, 5-krotny mistrz Polski i zwycięzca Ligi Mistrzów z kieleckim klubem, będący pod wielkim wrażeniem zaangażowania, poziomu, emocji i jakości obu zespołów. Z drugiej strony nieco odległy termin drugiego starcia pozwoli sztabom obu zespołów przeprowadzić dogłębną analizę tego, co wydarzyło się we wtorek i spróbować coś poprawić w taktyce, a sztabom medycznym poobijanych zawodników doprowadzić do „stanu używalności".

Dłuższa ławka

Co komu dolega, najlepiej wiedzą fizjoterapeuci, ale obserwując premierowe starcie, można było odnieść wrażenie, że dłuższą ławkę mają Nafciarze, zwłaszcza jeśli chodzi o środek defensywy. Nie przejęli się zbytnio dwiema szybkimi karami dla brylującego w niej Leona Susniji, bo lukę po Chorwacie doskonale wypełnił Białorusin Kiryl Samoiła. Po drugiej stronie boiska dzielił i rządził Tomasz Gębala, którego zwykle wspierał Jorge Maqueda, lecz zmógł go uraz, więc kielczanie musieli kombinować. Do przerwy wychodziło to bardzo dobrze, bo piłka do ich siatki wpadła raptem 11 razy. - W pierwszej połowie byliśmy lepsi, a w drugiej nie na tyle dobrzy - przyznał dość oryginalnie wracający do zdrowia kapitan Industrii, Alex Dujszebajew, a jego ojciec i trener kieleckiego zespołu poszedł dalej: - W drugiej połowie, przy 20 celnych rzutach rywali, mieliśmy chyba tylko jedną obronę bramkarza. To chyba za mało, by myśleć o zwycięstwie - słusznie zauważył Tałant Dujszebajew, mając na myśli nie najlepszą dyspozycję Miłosza Wałacha i Bekira Cordalijii. Z nadzieją, że do środy wykuruje się Klemen Ferlin, dodał: - Musimy solidnie przeanalizować ten mecz, żeby podobny się nie powtórzył.

Wiedza tajemna

Kirgizowi nie chodziło o porażkę 29:30, ale o to, że na 12 minut przed końcem prowadzili 24:20. Mogło się wówczas wydawać, że jego zespołowi nic złego nie powinno się stać, ale trener Xavier Sabate poprosił o czas, zebrał swych podopiecznych, najwięksi z nich zastawili kamerę, odsunęli mikrofon Polsatu Sport i po chwili wrócili na parkiet odmienieni. Trudno powiedzieć, jaką wiedzę tajemną przekazał im Hiszpan, ale od tego momentu niemal wszystko zaczęło grać. W ciągu 7 minut Wiślacy zdobyli 6 bramek, a stracili jedną i to z rzutu karnego. Dobrą zmianę w ataku dał Dmitry Żytnikow, w bramce przebudził się Viktor Hallgrimsson, a gdy do końca zostało 16 sekund (29:29), szkoleniowiec obrońców tytułu poprosił o kolejny czas, który został wykorzystany perfekcyjnie, a miękki nadgarstek Michała Daszka na prawym skrzydle dał im upragnione zwycięstwo. - Każda bramka jest ważna, ale ta cieszy szczególnie, bo zdołaliśmy przechylić szalę w bardzo trudnym meczu. Nie czuję się jego bohaterem. Na słowa pochwały zasłużyli wszyscy, a takie wygrane budują. Oba zespoły mają tyle samo czasu na przygotowanie do drugiego spotkania. Pojedziemy do Kielc z myślą o zwycięstwie i obronie złotego medalu. W zeszłym roku tam wygraliśmy, więc... - zawiesił głos doświadczony zawodnik. Wiadomo już, że rewanż w Hali Legionów obejrzy komplet (4200) publiczności. Biletów już nie ma.

Brawa dla arbitrów

Na miano „cichych" bohaterów pierwszego spotkania zapracowali sędziowie. Mówiąc kolokwialnie, Jakub Jerlecki i Maciej Łabuń ze Szczecina „udźwignęli temat" i nie dali sobie wejść na głowy, a trzeba wspomnieć, że „trup słał się gęsto". Gdy tylko dochodziło do spornych sytuacji, uspakajali pobudzone towarzystwo, stąd nikt nie miał do nich większych uwag. Mieli możliwość korzystania z powtórek na monitorze i jeśli nie byli pewni swoich werdyktów, to do niego podchodzili. Nawet wspomniany wcześniej Gębala specjalnie nie protestował, gdy w 57 minucie - po analizie jego faulu - otrzymał trzecią 2-minutową karę. Każda decyzja po analizie była omawiana z Joanną Brehmer, która - wraz z Markiem Góralczykiem - pełniła funkcję delegata, ale patrząc na przebieg finałowego dreszczowca, nie mieli wiele pracy.

Marek Hajkowski

Sport 340c392578

Krok od podium

Mistrzostwa Europy na otwartym akwenie - Klaudia Tarasiewicz czwarta na 10 km.

Klaudia Tarasiewicz z czasem 1:57.34,52 zajęła czwarte miejsce na dystansie 10 km pływackich mistrzostw Europy na otwartym akwenie, które są rozgrywane w chorwackim Starim Gradzie. Złoty medal wywalczyła Węgierka Viktoria Mihalyvari-Farkas. Zwyciężczyni uzyskała czas 1:57.27,54. Druga była Włoszka Ginevra Taddeucci - 1:57.30,35, a trzecia Niemka Lea Boy - 1:57.34,38.

Polka jest zaliczana do międzynarodowej czołówki open water. Zawodniczka MKP Szczecin ostatnio zajęła siódme miejsce w Pucharze Świata w Soma Bay, a także dość niespodziewanie wygrała zawody Pucharu Europy na Cyprze.

Wśród mężczyzn triumfował Węgier Kristof Rasovszky czasem 1:47:23,68. Na podium stanęli też Francuzi Logan Fontaine - 1:47.26,05 i Marc-Antoine Olivier - 1:47.26,18. a Piotr Woźniak był 17., tracąc do zwycięzcy dwie minuty i dziewięć sekund.

W czwartek biało-czerwonych czekają wyścigi na 5 km, a w piątek 3 km knockout sprint–format, który zadebiutował na ubiegłorocznych mistrzostwach świata juniorów.

Rywalizacja w sprincie eliminacyjnym będzie się składać z trzech etapów. W pierwszym zawodnicy będą się ścigać na dystansie 1500 metrów. W drugim – po krótkiej przerwie – zmierzą się na 1000 metrów, a o podziale medali zadecyduje finał, rozgrywany na dystansie 500 metrów.

(PAP)

Atak najlepszą obroną

Isaac del Toro po solowej akcji w krętej końcówce wygrał 17. etap i umocnił się na pozycji lidera.

GIRO D'ITALIA

We wtorek na trudnym górskim odcinku Meksykanin miał pierwszy dzień słabości w największej włoskiej imprezie, ale dzięki wypracowanej wcześniej przewadze obronił różową koszulkę. Najgroźniejsi rywale znacząco się jednak do niego zbliżyli – wicelider Simon Yates (Visma) tracił do niego tylko 26 sekund, a trzeci w klasyfikacji Richard Carapaz (EF Education-EasyPost) – 31. Zarówno Brytyjczyk, jak i Ekwadorczyk to – w przeciwieństwie do Isaaca del Toro – niezwykle doświadczeni i utytułowani kolarze, do tego obaj nie tylko wielokrotnie uczestniczyli w Grand Tourach, ale także je wygrywali (Yates Vueltę, a Carapaz Giro). Natomiast 21-letni Meksykanin dotąd tylko raz wystartował w trzytygodniowym wyścigu (zeszłoroczna Vuelta) i choćby z tego powodu nie bardzo było wiadomo, jak w najważniejszych dniach rywalizacji jego organizm zareaguje na wielkie obciążenia – zarówno fizyczne, jak i psychiczne.

W środę del Toro po raz kolejny podczas obecnej edycji pokazał jednak moc, zadziwiając wszystkich tych, którzy nie dawali mu większych szans na końcowe zwycięstwo. Owszem, miał trudne momenty, ale – także dzięki pomocy świetnie wywiązującego się z roli pomocnika Rafała Majki – pozbierał się, a na kluczowych fragmentach trasy nie bronił pozycji, a zaatakował i w wielkim stylu wygrał pierwszy etap na tegorocznym Giro, powiększając przewagę nad konkurentami w klasyfikacji generalnej.



Fot. PAP/EPA

– Olé! – zdaje się krzyczeć na mecie w Bormio zachwycony zwycięzca.

Młodzian ciężkie chwile przeżywał w końcówce najtrudniejszego wczoraj podjazdu na słynną przełęcz Mortirolo (1855 m n.p.m., 12,7 km o średnim nachyleniu 7,6 proc.). Wtedy ruszył do przodu Carapaz, a del Toro nie był w stanie odpowiedzieć. Na szczęście dla niego Ekwadorczyk zyskał niewielką przewagę, a do mety było daleko i dzięki pomocy kolegów z UAE Team Emirates wkrótce dogonił rywala.

To najwidoczniej wzmocniło mentalnie Meksykanina, który na ostatniej wspinaczce dnia, krótkiej, ale stromej Le Motte, sam zaatakował. Carapaz ruszył za nim i na zjeździe prowadzącym do mety szybko doścignęli najmocniejszego z ucieczki dnia Romaina Bardeta (Picnic PostNL). 34-letni Francuz, dla którego to przedostatni wyścig w bogatej karierze, robił wszystko, żeby do zwycięstw w Tourze i Vuelcie dołożyć to w Giro. Nie udało się, bo w krętej końcówce w stacji narciarskiej Bormio, del Toro ponowił atak i tym razem zostawił z tyłu konkurentów.

– Wyobrażałem sobie, że mogę wygrać etap w różowej koszulce. Dzisiaj było łatwiej niż wczoraj. Nigdy się nie poddaję i zawsze próbuję zwyciężyć – podkreślał szczęśliwy triumfator.

Meksykanin jest o cztery, a w zasadzie o dwa etapy od wygrania Giro. Dwa, bo w czwartek i niedzielę na stosunkowo łatwych trasach o zwycięstwo powalczą zapewne sprinterzy, natomiast w piątek i sobotę kolarzy czekają najtrudniejsze odcinki imprezy – tappone jak mówią o nich Włosi. Jak na nich spisze się rewelacyjny młodzian?

17. etap San Michele all'Adige - Bormio (155 km): 1. Isaac del Toro (Meksyk/UAE Team Emirates-XRG) 3.58:48, 2. Romain Bardet (Francja/Picnic PostNL), 3. Richard Carapaz (Ekwador/EF Education-EasyPost) - obaj strata 4 sek., 4. Simon Yates (W. Brytania/Visma-Lease a Bike) 15, 5. Giulio Pellizzari (Włochy/Red Bull-BORA-hansgrohe), 6. Derek Gee (Kanada/Israel-Premier Tech) obaj 16... **18. Rafał Majka (UAE Team Emirates-XRG) 1:13.**

Klasyfikacja generalna: 1. del Toro 65.30:34, 2. Carapaz 41, 3. S. Yates 51, 4. Gee 1:57, 5. Damiano Caruso (Włochy/Bahrain-Victorious) 3:06, 6. Egan Bernal (Kolumbia/INEOS Grenadiers) 4:43... **16. Majka 18:00.**

(gak)

Wreszcie pojechał

Kacper Halkiewicz zadebiutował w nowym sezonie, lecz z nie najlepszym skutkiem.

ŻUŻEL
PGE EKSTRALIGA

Częstochowski Krono-Plast Włókniarz mierzył się w niedzielę ze Stelmetem Falubazem Zielona Góra. Choć ekipa Lwów nie była faworytem, starała się postawić twarde warunki gościom z Ziemi Lubuskiej. Jeszcze przed ostatnim wyścigiem, gdy na tablicy wyników widniało 44:40 dla przyjezdnych, częstochowianie stali przed szansą na remis. Nie pozwolili na to Leon Madsen i Przemysław Pawlicki, którzy – pokonując Piotra Pawlickiego i Kacpra Worynę 4:2 – dali zwycięstwo swojej drużynie 48:42. – Już po starcie do 15. biegu w wykonaniu naszych zawodników można było przypuszczać, że o punkt meczowy będzie trudno – powiedział młodzieżowiec gospodarzy, Kacper Halkiewicz.

Pierwszy występ

Niedzielna batalia na Krono-Plast Arenie w Częstochowie była debiutem 18-letniego jeźdźca Biało-zielonych w sezonie 2025. Zastąpił kontuzjowanego Szymona Ludwiczaka. Nie będzie jednak mile wspominał tego meczu. Już w swoim premierowym wyścigu upadł na tor. W kolejnych również nie poszalał, przyjeżdżając do mety dwukrotnie jako czwarty. - W niedzielę dało się odczuć pewne różnice w porównaniu z nawierzchnią, jaka była na wcześniejszych treningach. W dzisiejszych czasach dużo zależy od temperatury i warunków pogodowych. Nie do końca mi pasuje nieco twardszy tor. Nie chciałbym jednak za bardzo zabierać głosu w tej sprawie, wolę pozostawić to do oceny trenerowi i innym, bardziej doświadczonym zawodnikom – stwierdził.

Do Wrocławia bez lidera?

Kolejną szansę od trenera Mariusza Staszewskiego Halkiewicz otrzyma już w najbliższym meczu. W piątek (30 maja) częstochowianie udadzą się do Wrocławia. Pojedynek zapowiada się ciężko dla Włókniarza, bo startować będzie przeciwko jednemu z pretendentów do medali, aktualnemu wicemistrzowi kraju. Kacper został już desygnowany do składu w stolicy Dolnego Śląskiego pod numerem 7. Wiele wskazuje na to, że w drużynie spod znaku lwa zabraknie Jasona Doyle'a. „Kangur" w spotkaniu z Falubazem zaliczył upadek, przez który odnowił się jego uraz biodra. Zdaniem naszego rozmówcy może być jednak inaczej. – Nie można mówić, że na 100% Jason nie pojedzie. Może mu się uda. Pamiętajmy, że z ekipą z Zielonej Góry też pierwotnie miał nie wystąpić, a pojechał. Zawsze trzeba mieć nadzieję – zakończył.

Norbert Giżyński



Fot. Grzegorz Misiak/PressFocus

Kacper Halkiewicz ma też inne zainteresowania.

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

CZWARTEK 29 MAJA

TVP 1
20.10 Przegląd wydarzeń

TVP 3
19.00, 21.50 Przegląd wydarzeń regionalnych

TVP SPORT
17.30 Pn: Betclic 1. Liga, studio i Wisła Płock - Polonia Warszawa, 20.55 Wisła Kraków - Miedź Legnica (na żywo), 23.30 Sportowy wieczór

POLSAT SPORT 1
19.50 Koszykówka: Orlen Basket Liga, Anwil Włocławek - Legia Warszawa, 2.25 Pn: Copa Libertadores, Racing Club - Fortaleza FC (na żywo)

POLSAT SPORT 2
11.40 Siatkówka: World Beach Pro Tour Elite 16 w Ostrawie (na żywo)

EUROSPORT 1
10.30 Tenis: 2. runda French Open w Paryżu (na żywo)

EUROSPORT 2
13.30 Kolarstwo: 18. etap Giro d'Italia, Morbegno - Cesano Maderno, 17.45 Tenis: 2. runda French Open w Paryżu, 21.00 Golf: 1. runda The Memorial Tournament (na żywo)

CANAL+ SPORT
2.00 Koszykówka: play off NBA (na żywo)

CANAL+ SPORT 5
18.00 Żużel: Metalkas 2. Ekstraliga, Hunters PSŻ Poznań - Fogo Unia Leszno (na żywo)

ELEVEN SPORTS 1
19.30 Żużel: PGE Ekstraliga, Bayersystem GKM Grudziądz - Orlen Oil Motor Lublin (na żywo)

ELEVEN SPORTS 2
20.25 Pn: liga francuska, Stade de Reims - FC Metz (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmian w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny
Andrzej GRYGIERCZYK
Redaktor wydania Andrzej GRYGIERCZYK
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba

Sety za szybko uciekały...

W tegorocznym French Open Hubert Hurkacz rozegrał tylko jedno spotkanie.

We wtorek 28-letni wrocławianin przegrał w 1. rundzie z brazylijskim nastolatkiem Joao Fonsecą (63. ATP) 2:6, 4:6, 2:6. - Robiłem wszystko, co mogłem. Wierzyłem, że mogę zacząć grać lepiej, a wyszedłem na trzeciego seta i od razu popełniłem trzy proste błędy. Za łatwo uciekły początki setów. Nie ułatwiało to zadania. Nie zagrałem dobrego spotkania - przyznał wprost Hubert Hurkacz.

W ubiegłym roku w Paryżu Hubi dotarł do 4. rundy. To było wyrównanie jego najlepszego wyniku na kortach Rolanda Garrosa z 2022 roku. Mecz otwarcia w stolicy Francji poprzednio przegrał cztery lata temu. Następnie jednak osiągnął życiowy rezultat w Wimbledonie, dochodząc do półfinału.

Zapytany, czy pamięta jaki wynik zrobił w Londynie w 2021 roku, po chwili namysłu odparł: - Tak, dzięki za przypomnienie. Trochę lepiej się poczułem. Na turniej wielkoszlemowy przyjeżdżam po to, żeby wygrać. Zawsze chce się grać dobrze na nich. Tu się to nie zdarzyło. Teraz czas chwilę odpocząć i przygotować się dobrze na trawę - dodał Polak.

Przed Roland Garros Hurkacz dotarł do finału imprezy ATP 250 na mączce w Genewie, w którym przegrał z Novakiem Djokoviciem. W czerwcu przed Wimbledonem planuje starty na trawie w holenderskim 's-Hertogenbosch i w niemieckim Halle.

(t, PAP)

ZIELIŃSKI ODPADŁ

■ Jan Zieliński i Belg Sander Gille odpadli w 1. rundzie rywalizacji deblistów w Paryżu. W środę przegrali z rozstawionymi z numerem 9 Amerykanami Christianem Harrisonem i Evanem Kingiem 3:6, 4:6. Zieliński będzie rywalizował jeszcze w mikście w parze z Su Wei Hsieh z Tajwanu. W grze podwójnej z Polaków wystąpią jeszcze Karol Drzewiecki z Piotrem Matuszewskim, a także Katarzyna Piter u boku Rumunki Moniki Niculescu. Wcześniej odpadła Magda Linette razem z Amerykanką Bernardą Perą.

Wiedziała, co chce zrobić

Obrończyni tytułu nie ma na razie większych kłopotów w Paryżu. Iga Świątek pewnie zameldowała się w trzeciej rundzie.

Emma Raducanu zadziwiła tenisowy świat latem 2021 roku. Mająca rumuńsko-chińskie korzenie Brytyjka, wówczas 150. tenisistka w światowym rankingu, wygrała US Open, jako pierwsza kwalifikantka w historii. Ale przez kolejne lata nawet nie zbliżyła się do podobnego sukcesu. Nie wygrała żadnego turnieju, nawet najniższego rangą (250); od nowojorskiego triumfu tylko raz w Wielkim Szlemie dotarła do 1/8 finału, a w Paryżu nigdy nie przebrnęła drugiej rundy.

W środę nic się nie zmieniło - jak zwykle była bezradna z 4-krotną triumfatorką Rolanda Garrosa (2020, 2022-24) Igą Świątek i przegrała 1:6, 2:6.



Fot. PAP/EPA

Iga Świątek może w Paryżu śmiało patrzeć w górę...

1

Iga Świątek jest jedynym sportowcem - bez względu na płeć - który dotarł do 3. rundy we wszystkich 21 turniejach Wielkiego Szlema w singlu rozegranych od 2020 roku. Polka ma obecnie bilans 37-2 w Roland Garros, co daje jej drugi najlepszy procent wygranych (94,9) w erze open; 37 zwycięstw na French Open to najwięcej wśród aktywnych tenisistek.

Fałszywy gem

W czterech poprzednich meczach z Polką Raducanu nie wygrała nawet seta. W środę, gdy przez 6 minut pierwszy gem rozstrzygał się na przewagi, a serwująca Świątek musiała bronić break pointa, wyglądało, że tym razem „królowej mączki" na jej ukochanym korcie Philippe'a Chatriera będzie trudniej. Ale podopieczna Wima Fissette'a nie dała się przełamać, a gem był złudny. Co prawda chwilę później Brytyjka wyrównała, ale na tym emocje w pierwszej partii się skończyły - Świątek przejęła inicjatywę, spychając rywalkę do głębokiej defensywy i Raducanu więcej gemów już nie wygrała.

Podobny przebieg miał drugi set. Od stanu 1:1 Świątek wygrała dwa gemy bez straty punktu. Polka nie grała idealnie, ale bardzo solidnie, kilka razy zaskoczyła ciekawymi akcjami przy siatce, a jej momenty słabości trwały krótko. W czwartym gemie po serii słabych serwisów broniła trzech break pointów, ale wyszła z opresji.

Przepaść w liczbach

Ostatecznie oddała rywalce jeszcze tylko jednego gema. Po godzinie i 19 minutach, bekhendem wzdłuż linii zakończyła spotkanie. Brytyjka miała zaledwie 8 winnerów, a Świątek 4 razy więcej - 32, co oddaje dysproporcję między rywalkami.

- Od początku meczu wiedziałam, co chcę zrobić i po prostu to zrobiłam. Jestem bardzo zadowolona ze swojego występu. Rozegrałam dwa dobre mecze, ale nie mogę oczekiwać, że teraz wszystko będzie łatwe. Zawsze trzeba być gotowym na to, co życie przyniesie. Czasem ma się lepsze dni, a czasem nie wszystko się układa - stwierdziła Polka.

Teraz Rumunka

Mimo wszystko - po wczesnym odpadnięciu potencjalnie groźnej Ukrainki, Marty Kostjuk - problemy wciąż powinny omijać byłą liderkę rankingu, bo kolejną rywalką Świątek będzie w piątek 60. w rankingu Jaqueline Cristian; Rumunka po trzysetowym boju pokonała kwalifikantkę z Czech, Sarę Bejlek.

Do 3. rundy pewnie awansowały także: liderka rankingu Aryna Sabalenka, numer 4 Jasmine Paolini i mistrzyni olimpijska z Paryża turniejowa „siódemka" Qinwen Zheng. Wśród panów odpadł m.in. rozstawiony z nr 8 Casper Ruud; niedawny triumfator z Madrytu nie sprostał Portugalczykowi Nuno Borgesowi (41. ATP).

Tomasz Mucha

Finalistka już padła, teraz mistrzyni

Magdalena Fręch ostrzy sobie zęby na Marketę Vondrousovą, triumfatorkę Wimbledonu po przejściach.

Mecz Magdaleny Fręch z Czeszką Marketą Vondrousovą w 2. rundzie French Open rozpocznie w czwartek zmagania na korcie numer 6. Tenisistki przystąpią do gry już o godzinie 11.00. Łodzianka rozstawiona jest na kortach Rolanda Garrosa z numerem 25. W 1. rundzie pokonała byłą wiceliderkę rankingu WTA i trzykrotną finalistkę turniejów wielkoszlemowych, Tunezyjkę Ons Jabeur (36. WTA) 7:6 (7-4), 6:0. - Nie spodziewałem się, że rywalka pęknie tak szybko w drugim secie, ale jestem pod wrażeniem mentalu Magdy, tego jak wyszła w pierwszym secie ze stanu 3:5, choć mogła popłynąć - cieszył się trener Polki Andrzej Kobierski.

W Paryżu Fręch nigdy nie przeszła drugiej rundy, poprzednio rywalizowała w niej w 2018 i 2023 roku. Złą passę spróbuje przerwać w potyczce z Vondrousovą. 25-letnia leworęczna tenisistka z Pragi to srebrna medalistka olimpijska z Tokio (2021) i mistrzyni Wimbledonu 2023 - w finale pokonała... Jabeur i przeszła do historii jako pierwsza nierozstawiona w open erze (od 1968 roku), która triumfowała na londyńskiej trawie (była wówczas 42. na świecie). Wskoczyła na pozycję nr 6 w rankingu, ale - prześladowana przez kontuzje - obecnie zajmuje dopiero 96. miejsce.

Czeszka była już w finale Rolanda Garrosa - w 2019 roku przegrała z Australijką Ashleigh Barty. Rok temu doszła do ćwierćfinału, w którym uległa Idze Świątek (podobnie jak w 1. rundzie w 2020), a po Wimbledonie zakończyła sezon z powodu urazu barku. Wróciła na korty w styczniu, ale po rozegraniu 8 meczów znów wycofała się po lutowym turnieju w Dubaju. Na otwarcie w Paryżu wygrała z kwalifikantką z Rosji, Oksaną Selechmietiewą (147. WTA) 6:4, 6:4.

Fręch ma z Vondrousovą bilans 0-3. Jedynego seta urwała Czeszce rok temu na mączce w Strasburgu (7:5, 0:6, 1:6). - Ten mecz był już lepszy choćby od tego z Indian Wells sprzed trzech lat. Magda wygrała seta, ale potem naciągnęła nogę. Znam Marketę od dziecka, wiem jak gra, niczym nas nie zaskoczy. Mam nadzieję że będzie trochę cieplej i możemy śmiało powiedzieć, że zawalczymy o zwycięstwo - zadeklarował Kobierski.

(t)

WYNIKI

1. runda kobiet: Alycia Parks (USA) - Karolina Muchova (Czechy, 14) 6:3, 2:6, 6:1, 2. runda: Świątek (5) - Raducanu (Wlk. Brytania) 6:1, 6:2, Zheng (Chiny, 8) - Arango (Kolumbia) 6:2, 6:3, Anisimova (USA, 16) - Golubic (Szwajcaria) 6:0, 6:2, Mboko (Kanada) - Lys (Niemcy) 6:4, 6:4, Paolini (Włochy, 4) - Tomljanovic (Australia) 6:3, 6:3, Switolina (Ukraina, 13) - Bondar (Węgry) 7:6 (7-4), 7:5, Starodubcewa (Ukraina) - Potapowa (Rosja) 7:6 (7-4), 6:2, Pera (USA) – Vekić (Chorwacja, 18) 6:2, 4:6, 7:6 (7-3), Tauson (Dania, 22) - Rus (Holandia) 7:6 (7-2), 7:5, Danilović (Serbia) - Collins (USA) 6:4, 3:6, 6:4, Samsonowa (Rosja, 19) - Gormaz (Hiszpania) 6:3, 6:3, Cristian (Rumunia) - Bejlek (Czechy) 1:6, 6:3, 6:3, Sabalenka (Białoruś, 1) - Teichmann (Szwajcaria) 6:3, 6:1, Ostapenko (Łotwa, 21) - Dolehide (USA) 5:7, 6:3, 6:3, Jastremska (Ukraina) - Sznajder (Rosja, 11) 7:5, 7:5, Rybakina (Kazachstan, 12) - Jovic (USA) 6:3, 6:3

1. runda mężczyzn: Draper (Wlk. Brytania, 5) - Bellucci (Włochy) 3:6, 6:1, 6:4, 6:2, Rublow (Rosja, 17) - Harris (RPA) 6:4, 4:6, 6:3, 6:1, Arnaldi (Włochy) - Auger-Aliassime (Kanada, 29) 5:7, 2:6, 6:3, 6:4, 6:2, Rocha (Portugalia) - Basilaszwili (Gruzja) 7:6 (7-0), 2:6, 7:6 (11-9), 2:6, 6:2, Cobolli (Włochy) - Cilic (Chorwacja) 6:2, 6:1, 6:3, Moutet (Francja) - Tabur (Francja) 6:3, 7:6 (8-6), 6:3, Monfils (Francja) - Dellien (Boliwia) 4:6, 3:6, 6:1, 7:6 (7-4), 6:1; 2. runda: Musetti (Włochy, 8) - Galan (Kolumbia) 6:4, 6:0, 6:4, Medjedović (Serbia) - Cerundolo (Argentyna) 6:3, 6:4, 7:5, Altmaier (Niemcy) - Kopriva (Czechy) 6:2, 4:6, 6:3, 7:5, Popyrin (Australia, 25) - Tabilo (Chile) 7:5, 6:3, 6:4, Halys (Francja) - Kecmanovic (Serbia) 4:6, 6:3, 7:6 (7-2), 7:5, Navone (Argentyna) - Opelka (USA) 6:1, 7:6 (7-1), 6:3, Borges (Portugalia) - Ruud (Norwegia) 2:6, 6:4, 6:1, 6:0, Chaczanow (Rosja, 24) - Ofner (Austria) 7:5, 3:6, 7:5, 4:6, 6:2, Alcaraz (Hiszpania, 2) - Marozsan (Węgry) 6:1, 4:6, 6:1, 6:2, Dzumhur (Bośnia i Hercegowina) - Perricard (Francja, 31) 7:6 (7-4), 6:3, 4:6, 6:4, Paul (USA) - Fucsovics (Węgry) 4:6, 2:6, 6:3, 7:5, 6:4, Gigante (Włochy) - Tsitsipas (Grecja) 6:4, 5:7, 6:2, 6:4, Shelton (USA) - Gaston (Francja) walkower dla Sheltona

1. runda debla mężczyzn: Harrison, King (obaj USA, 9) - Zieliński, Gille (Polska, Belgia) 6:3, 6:4.

Sport 340c392578